

ŻYCIE GOSPODARCZE

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

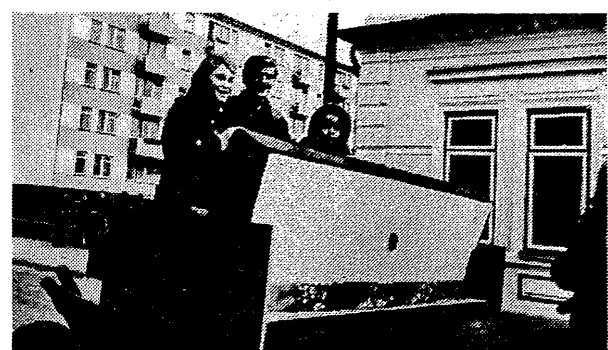
CENA 4 ZŁ



**Aby utrzymać wysokie tempo wzrostu
musimy przyspieszyć substytucję
ilości pracy jej wydajnością**

MIECZYŚLAW KABAJ

str. 1



**DOBROBYTU
NIKT NAM
NIE PODARUJE**

ANDRZEJ LUBOWSKI

str. 1

**MASZYNISTKOM
POWINNO BYĆ
JAK W RAJU...**

DANUTA ZAGRODZKA

str. 3

**Przemysł drobny
w polityce rozwoju
regionalnego**

STANISŁAW
SKOWROŃSKI

str. 9

JAK ZWALCZAĆ BRAKI

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

str. 5

**Oskar Lange – ekonomia
polityczna a nauki pomocnicze**

HELENA HAGEMEJEROWA
IRENA ULATOWSKA

str. 11

**KORESPONDENCJA
Z MONGOLII**

JERZY
DZIECIOŁOWSKI

str. 13

JAKOŚĆ PRACY JAKOŚĆ ŻYCIA

ANDRZEJ LUBOWSKI

DEOLOGICZNA teza, że rozwój jest dla człowieka i przez człowieka była w całej naszej powojennej historii powszechnie akceptowana. Nie zawsze jednak znajdowała wyraz w praktycznym działaniu, a już na pewno nie zawsze w społecznym odczuciu, które przecież przesądza o ludzkich postawach.

Nowym przerwem w polityce ostatnich pięciu lat była strategia zorientowana na społeczne czynniki postępu, teza VI Zjazdu, że lepsze zaspokojenie potrzeb ludzkich sprzyja rozwojowi kraju. Niewątpliwym dorobkiem minionych kilku lat jest to, że w społecznej świadomości mocniej sobie poczęło miejsce rozumienie zależności między wzrostem produkcji a wzrostem zarobków. Mocno przecież i brutalnie tkwica w naszych realiach zasada, czy się stoi czy się leży... zaczęła stopniowo tracić rację bytu. Obawiam się, że jeszcze nie wszędzie rozstaliśmy się z nią na zawsze, ale pozostaje faktem, że przynajmniej w znacznej części naszego przemysłu związek między pracą i zarobkami nabrał bardziej racjonalnego i moralnie słusznego wymiaru.

Jak wiadomo, strategia VI Zjazdu będzie w nadchodzącym pięcioletnim kontynuowana. Oznacza to zatem utrzymanie podstawowych sprężyn społeczno-motywacyjnych postępu. Oznacza kontynuowanie strategii otwartej wobec potrzeb społecznych, a jednocześnie sprzyjającej aktywności i inicjatywie. Wytyczne na VII Zjazd partii, formułując cele zgodne w swej istocie z programem VI Zjazdu, rozkładają jednak w niektórych miejscach akcenty w sposób odmienny. Jest to w pełni zrozumiałe. Wynika między innymi z innych niż przed pięcioma laty warunków rozwoju, z innych aspiracji społecznych i innych możliwości zaspokojenia tych aspiracji.

Gdyby na upartej chęci nie zmiana akcentów wyrazić w formie hasła, to brzmieć ono mogłoby na przykład tak: „kult jakości” lub „stawka na jakość”. Myśl tę Wytyczne na

VII Zjazd wyrażają w sposób następujący:

„Głównym zadaniem w nadchodzących latach, należy uczynić wszechstronne podnoszenie jakości pracy i warunków życia naszego narodu. Wszędzie — w produkcji, w postępie naukowo-technicznym, w sposobie życia, w działalności politycznej i społecznej, w kształtowaniu stosunków międzyludzkich — trzeba zapewnić prymat kryteriów jakościowych”.

Mini-ankieta na temat: co się składa na „jakość życia”, jaką przeprowadziłem wśród kilkunastu osób różnych profesji, ze średnim wykształceniem i takimi dochodami, dała tak z grubsza brzmiącą odpowiedź: „Jakość życia zależy od tego, jak mieszkam, ile zarabiam i co za to mogę kupić, jak układają się stosunki rodzinne, czy buty cisną czy nie, jaki się trafił szef i koleś, czy codzienny dojazd do pracy odbywa się w ścisłości czy nie, jak długo przychodzi stać w kolejce po żywność i przy odcienku pocztowym, czy remont ciekającego zlewu to wielka sprawa, czy tylko drobny”. Pewno, że nieprecyzyjna to definicja pojęcia tak szerokiego. Ale i odpowiedź o czymś świadczy. O presji codziennych potrzeb, o powszechnych troskach, mających swe źródło w niskiej jakości wielu produktów i usług elementarnych.

Fakt, że jakość z trudem da się mierzyć i ważyć, że z oporem podaje się ilościowemu osądowi — nie oznacza, że kłopoty sprawia nam określenie, co dobre a co kiepskie, co udane, a co spartaczające. Stąd tęsknota za wysoką jakością tak silna. W niejednym przypadku jest to w opinii niektórych przedstawicieli generacji więcej niż średniej coś w rodzaju tęsknoty za rajem utraconym. Przed wojną bowiem można było kupić w Warszawie bez większych kłopotów dowolny rozmiar wygodnych, miękkich butów, mieszkania stawiano solidniej, czego dowodem do dziś dostarczają choćby stare budynki w Alei Róż lub na ulicy Belwederskiej, języków obcych

uczono po domach staranniejszą niż czyni to obecnie szkoła ogólnokształcąca. To obniżenie się jakości — rzeczy czy usług — mogłoby budzić smutek i fęsknotę za „dawnymi dobrymi czasami” gdyby nie świadomość, iż była to wysoka jakość dla niewielu. Demokracja dostępu do wartości materialnych i duchowych, która nastąpiła po wojnie byłaby niemożliwa bez szybkiego wzrostu ilości dóbr i usług.

W warunkach, gdy popyt ustępował popytowi, istniały wszelkie przesłanki po temu, aby jakość zechłaniać na plan dalszy. Zmora bubli i powstanie swoistej tolerancji dla partactwa, to bardziej może psychiczny niż materialny koszt szybkiej industrializacji naszego kraju. Industrializacji dokonywanej rękami setek tysięcy ludzi, którzy poza ofiarnością niewiele ze sobą przynieśli, którym brakowało nawyków pracy starannej i których do wyższej jakości pracy niezbyt dopinguje istniejący system ocen wyników ich działalności. System preferujący to, czego brak odczuwany był najbardziej. Brakowało wszystkiego, preferowano zatem ilość.

Dziś jeszcze mało kto, oczekujący kilka lat w kolejce po klucze do mieszkania, nie weźmie ich, dlatego, że drzwi do łazienki nie chcą się domknąć. Ale o nabywcę męskiego garnituru producent i handel muszą już zabiegać. Niedorozwój sfery usług sprawia, że hydraulik — fuszerek nawet — jest w cenie, a panienka w biurze podróży może sobie pozwolić na arogancję. Lecz łódzkie z obitym błatem da się sprzedać tylko po obniżonej cenie. Krótko mówiąc, na jakość przynajmniej się oko w sytuacji rynku sprzedawcy. Generalnie rzecz biorąc, z takim charakterem rynku mamy wciąż do czynienia w naszym kraju, choć coraz częściej klient może sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Tłumaczenie ogromu zaniedbań w dziedzinie jakości faktem supremacji

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

BARIERA ZATRUDNIENIA

MIECZYŚLAW KABAJ

Bieżące pięcioletnie zamyka epokę wielkiej obfitości zasobów pracy. Rozpoczyna się okres, w którym miejsce problematyki tworzenia warunków pełnego zatrudnienia zajmie problematyka bariery zatrudnienia. Będzie to okres, w którym ekonomiści i politycy gospodarczy muszą wymienić stare narzędzia służące tworzeniu nowych miejsc na nowe i inne — sprzyjające zastępowaniu pracy żywej przez postęp techniczny i wyższą wydajność pracy.

S PRAWNOŚĆ i skuteczność tych nowych narzędzi i mechanizmów gospodarczych zadecyduje o tym, czy bariera zatrudnienia będzie realnym zjawiskiem ekonomicznym wpływającym na tempo wzrostu gospodarczego, na efektywność wykorzystania majątku produkcyjnego gospodarki i sytuację na rynku pracy.

Warto więc sformułować parę refleksji na temat bariery zatrudnienia, dotyczących przyszłego pięcioletnia, wychodząc z ogólnej analizy trendów i zjawisk w dziedzinie zatrudnienia w bieżącym pięcioletniu oraz z prognozy zatrudnienia na lata 1976—1980.

DYNAMIKA I STRUKTURA

Tworzenie warunków pełnego i racjonalnego zatrudnienia stanowiło jedno z niezwykle istotnych założeń polityki gospodarczej pięcioletnia 1971—75. Traktowanie wzrostu zatrudnienia jako aktywnego czynnika rozwoju gospodarczego i jako ważnego celu społecznego przyniosło oczekiwane rezultaty.

Pięcioletnie 1971—75 cechował najwyższy — w okresie powojennym — przyrost zasobów pracy sięgający 1,9 mln osób. W tych warunkach przyrost zatrudnienia nie tylko mógł być wysoki, ale także musiał być wysoki dla zapewnienia pracy licznym

rocznikom młodzieży. Średni roczny wzrost zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej w latach 1971—74 sięgał 388 tys. osób i był o ponad 90

ZAŁOŻENIA PLANU NA LATA 1971—1975 I FAKTYCZNY WZROST ZATRUDNIENIA W GOSPODARCE USPOŁECZNIONEJ W LATACH 1971—1974

Wyszczególnienie	Przyrost zatrudnienia (w tys.)		Średni roczny przyrost zatrudnienia w tys.		Różnica w tys. osób
	1971—75 (plan)	1971—74 (realizacja)	Przewidywany w planie 1971—75	Faktyczny w latach 1971—74	
Ogółem w gospodarce uspołecznionej	1582	1551	318	388	+70
w tym:					
Przemysł	662	328	132	132	—
Budownictwo	133	315	34	79	+45
Transport i łączność	133	97	29	21	-8
Handel	136	146	27	37	+10
Gospodarka mieszkaniowa i komunalna	92	74	18	18,5	+0,5
Nauka	29	68	6	17	+11
Oświata i wychowanie	50	83	10	21	+11
Kultura i sztuka	14	10	3	2,5	-0,5
Ochrona zdrowia, opieka społeczna i kultura fizyczna	107	102	21	17	-4
Finanse i ubezpieczenie	10	12	2	2	—
Administracja państwowa i wymiar sprawiedliwości	8	—	1,6	0,8	-0,8

Źródło: Rocznik Statystyczny 1975; Polityka Gospodarcza PRL, Wyd. IV, Kłw 1975, s. 210.

tys. wyższy niż w poprzedniej pięcioletniej. Równocześnie jednak średnie roczne tempo wzrostu dochodu narodowego było w tych latach o przeszło 50 proc. wyższe niż w poprzedniej pięcioletniej, społeczna wy-

dałość pracy zwiększała się znacznie szybciej niż w przeszłości. Dowodzi to słuszności twierdzenia, że wysokie tempo wzrostu zatrudnienia jest ekonomicznie i społecznie w pełni uzasadnione, jeżeli prowadzi do przyspieszenia dynamiki gospodarczej i towarzyszy mu odpowiedni wzrost wydajności pracy.

Doświadczenie ostatnich lat wskazuje także na ważną i nową prawidłowość. Wzrost zatrudnienia zdecydowanie był w decydującym stopniu przyczyną wzrostu zasobów siły roboczej. W perspektywie najbliższych pięcioletni granica wzrostu zatrudnienia określana będzie całkowicie przez wzrost zasobów pracy. Oznacza to, że instrumenty administracyjne i ekonomiczne regulujące wzrost zatrudnienia będą wpływać raczej na kierunki tego wzrostu oraz strukturę alokacji zasobów pracy, a nie na tempo ogólne wzrostu, gdyż będzie ono określone nie przez czynniki ekonomiczne, lecz demograficzne.

Stwierdzenie to ma ważne znaczenie dla interpretacji polityki zatrudnienia w bieżącym pięcioletniu. Często stawiane jest pytanie, czy ogólny wzrost zatrudnienia nie był zbyt wysoki lub nadmierny, czy nie mógł być niższy. Wydaje się, że wzrost zatrudnienia nie mógł być mniejszy, gdyż nie spełniałby warunku pełnego zatrudnienia. Istnieją jednak dwa ważne problemy związane z tym wzrostem, które wymagają szerszej interpretacji. Pierwszy z nich odnosi się do struktury tego wzrostu; drugi

do zbyt dużej potencjalnej skłonności zakładów pracy do zwiększania zatrudnienia, która prowadziła do

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

JAKOŚĆ PRACY JAKOŚĆ ŻYCIA

DOKONCZENIE ZE STR. 1

cji popytu nad podażą wyjaśnia wiele, ale nie wyjaśnia wszystkiego. A już na pewno nie może zadowolić. Nie byłaby to budująca perspektywa, aby na poprawę jakości czekać do momentu pełnego nasytowania rynku. Trudno się pogodzić z taką perspektywą wcale nie w obawie, że moment pełnego nasytowania rynku to przyszłość odległa. Rozumowanie to budzi natomiast sprzeciw ze względu na kataryzyczne przeciwstawianie ilości — jakości.

To prawda, że przeszłość pokazała wyrażenie, jak ilość zwycięsko konkurować potrafi z jakością. Jednocześnie między ilością i jakością istnieje także różnica jakościowa: jakość może stać się substytutem ilości. Jeśli tylko lepszy znaczyć będzie trwałszy, a więc w konsekwencji taki, który rzadziej trzeba wymienić, wówczas wyższa jakość zagości przesyła na ilość, pozwoli latać dziurę w ilości.

Skorosocjalistyczny system gospodarowania daje możliwość kształtowania struktury produkcji zgodnie z interesami ogólnospołecznymi, to mamy ogromne szanse, rozstrząsając się

sobie zwykle tym, że osoba usługę tę świadcząca inaczej nie umie, lub nie chce, co jest niekiedy uproszczeniem całej sprawy, ale nie tak znów wielkim, skoro panienka przy sąsiednim okienku załatwia nas od ręki, szybko i kulturalnie.

Stokroć jednakże trudniejsze jest znalezienie winnego w wypadku, gdy nawala np. radiodioda. W sytuacji, gdy to, co dla jednych jest produktem finalnym ich pracy, dla innych stanowi dopiero prefabrykat, w jakości tego radiodioda wyraża się jakość pracy setek, jeśli nie tysięcy ludzi. Najlepszą konstrukcję rozłożył może chybiona technologia. Jest to notabene jedno ze słabszych ogniw procesu produkcji w naszym kraju. Na jakość końcową nie miały wpływu wytworzyła też sama organizacja procesu wytwarzania.

Głęboki współczesny podział pracy, komplikujące się w nowoczesnym przemyśle relacje produkcyjne — wszystko to sprawia, że efekty pracy ludzi na pozór bardzo od siebie odległych uzależnione są wzajemnie w stopniu coraz silniejszym. Niska jakość pracy jednego niweczy wysiłki innych. Mało kto pracuje dziś w pełnym tego słowa rozumieniu na własne konto. Rachunek za partycypację jednego z państwa inna. A partycypacja nie tylko ten, kto nie dokreślił śrubki, że skrocił spódnie, czy zapomniał zabrać na odczepnego. Partycypacja i ten, kto przetrzymuje niepotrzebnie na bocznicy wagon i ten, kto kupił za ciężkie pieniądze obrabiarke, która nie wejdzie do fabrycznej hali, i ten, który zatrącił ryby w rzecze, i ten, który poronionym zarządzaniem zmusza nas, by w przychodni lekarskiej zjawiać się dwukrotnie: rano po numerkach, jakby telefon czekał

wciąż na wynalezienie, po południu, by odebrać swoje raz jeszcze.

Zależność między lepszą pracą a lepszym życiem, czy jak kto woli — między jakością pracy a jakością życia wydaje się zależnością tak oczywistą, że aż banalną. Zależność ta nie ugruntuwała się jednak jeszcze w powszechnej świadomości społecznej i nie stało się tak za sprawą nieczytych mocy, lecz codziennej praktyki. Razut oka dookoła prowadzi niejednego z nas do przekonania, że nie zawsze rzetelność, wiedza, jakość pracy decyduje o materialnym i społecznym statusie jednostki, że w konkretnych przypadkach twierdzenie o ścisłym związku między jakością pracy a jakością życia nabiera kształtu iluzji. Nieprzypadkowo zatem Wytocznie na VII Zjazd tak dobitnie akcentując potrzebę nadania prymatu kryteriom jakościowym jako warunkowi niezbędnemu dla kształtowania właściwych naszymu ustrojowi stosunków międzyludzkich. Nie jest też dziełem przypadku, że sprzeczanie między jakością pracy a jakością warunków życiowych Partia tak silnie eksponuje właśnie teraz.

Wynika to zarówno ze zmieniającego się charakteru społecznych aspiracji, jak i z możliwości gospodarki. W miarę jak gospodarka nasza dojrzewa, a ludzie żyją dostatniej, zaczynają się stopniowo wyzwalzać z urazów ludzi biednych, z gorączkowej fascynacji ilością, potęgą się i dawniej odczuwana, ale odkładana na lepsze czasy tęsknota za wyższą jakością. Rosnącym wymaganiom jakościowym gospodarka odpowiada lepszymi niż kiedyś możliwościami ich zaspokojenia. Nagromadziłyśmy w ciągu wielu lat niemały kapitał ludzkich kwalifikacji. Z aparatu wytwórczego zasilonego w osta-

tnich latach potężnym strumieniem nowoczesnych urządzeń i technologii wyściągnąć można nie tylko ilość, ale i wysoką jakość. Pod warunkiem wszakże, że i ludzka praca nabierze nowego jakościowego wymiaru. Jest to tym bardziej konieczne, że skurczą się w nadchodzących latach rezerwy siły roboczej, którymi przez całe minione trzydziestolecie kraj nasz dysponował. Można powiedzieć, że obiektywne uwarunkowania wymagają będą w naszej gospodarce modę na jakość pracy. Marnotrawstwo ludzkiej pracy staje się luksem, na który coraz mniej możemy sobie pozwolić.

Pytanie o jakość pracy jest zarazem pytaniem o koszt rozwoju. Życie dostarcza znakomitych dowodów, że z tej samej bawelny, skóry czy stali powstać może wyrób gorszy albo lepszy. Pobieżna nawet analiza naszego bilansu materiałowego i wciąż rosnącego rachunku, jaki płacimy za import zużywanych w kraju materiałów i surowców prowadzi do wniosku, że marnotrawstwo w tej dziedzinie uderza gospodarkę polską w najwrażliwsze miejsce. Krótko mówiąc, za biedni jesteśmy na to, aby produkować tandetę. A skoro mowa o zewnętrznych uwarunkowaniach naszego rozwoju, to pamiętać też wypada, że bez wysokiej jakości produkcji nie mamy czego szukać na obcych rynkach. Towar, który chce się dziś sprzedawać za granicą za przyswoitą cenę musi być dobry. W przeciwnym razie dążenia do szerszych kontaktów ekonomicznych ze światem, próby wciśnięcia się w nie zajęte będzie szczerliwym w handlu międzynarodowym, tworzenia nowych polskich specjalności eksportowych pozostaną tylko w sferze zamiarów.

Formułowane jest dziś zadanie zbudowania w naszym kraju w ciągu dwóch dziesięcioleci rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Trzeba nam zatem wizji tego społeczeństwa. I to prawda, że wizji tej nie powinny nam przesłaniać uwierające dziś buty. Patrzenie okiem krótkowidza jest bez wątpienia szkodzi. Ale jak uczy doświadczenie, największe błędy mają swe źródło w ignorowaniu rzeczywistości, potrzeb i aspiracji faktycznych. Dlatego uprzedzić sobie warto, że ku wyższemu celom idzie się szybciej, wygodniej i radośniej, gdy buty nie uwierają.

Nasze cele na to dosłowne i to bardziej odległe jutro są zresztą ze sobą w pełni zgodne. Bazą dla wszelkiego stronnego rozwoju człowieka, jego talentów, zamiłowań i umiejętności jest dobrobyt materialny. Dobrobyt, którego nikt nam nie podaruje. Zależy on od tego, jak będzie pracować całe społeczeństwo. Co robić, żeby pracowało jak najlepiej?

Dopóki u wielu z nas niedostateczny jest stopień identyfikacji interesów indywidualnych z ogólnospołecznymi, dopóty liczenie tylko na siłę świadomej dyscypliny, wewnętrznej imperatywu nie będzie wystarczające. Dla poprawy jakości pracy niezbędny jest doskonały system motywacji przychodzących z zewnątrz. Ludziom trzeba pomagać „chcieć” pracować dobrze. Trzeba im również stwarzać ramy dla dobrej pracy.

Jeśli tyle mówimy o dyscyplinie i organizacji pracy, to wskazane byłoby widzieć dwukierunkowe relacje, jakie między nimi zachodzą. To prawda, że trudno dobrze zorganizować pracę, gdy szwankuje dyscy-

BARIERA ZATRUDNIENIA

DOKONCZENIE ZE STR. 1

wielu trudności i napięć na „rynku pracy”.

Warto przyjrzeć się ewolucji struktury zatrudnienia na tle pierwotnych założeń planu pięcioletniego. Średni roczny przyrost zatrudnienia w gospodarce społecznej był o 70 tys. osób wyższy, od pierwotnych założeń planu. Wielkość tę w decydującym stopniu określili szybszy wzrost zatrudnienia w budownictwie, związany m. in. z przekroczeniem pierwotnie planowanych inwestycji o 450 mld zł. Nieco wyższy wzrost zatrudnienia niż zakładali plan był także w handlu, nauce, oświacie i wychowaniu; niższy w transporcie i ochronie zdrowia.

W strukturze zatrudnienia nastąpiły dalsze przesunięcia na korzyść przemysłu i budownictwa oraz usług. Udział czynnych zawodowo w rolnictwie i leśnictwie zmniejszył się z 38,6 w 1970 r. do 34,6 w 1974 r. W sferze pozarolniczej nie nastąpiło przesunięcie w strukturze zatrudnienia na korzyść usług. Łączne tempo wzrostu zatrudnienia w przemyśle i budownictwie oraz całym dziale szeroko rozumianych usług było identyczne. Stąd udział usług w ogólnym zatrudnieniu w gospodarce społecznej poza rolnictwem utrzymał się w 1970 i 1974 r. na identycznym poziomie 41,8 proc. Nie uległ zmianie udział zatrudnienia w handlu; wyniósł on w 1970 i 1974 r. 9 proc. i był niższy niż w latach 1950 (10,1 proc.) i 1960 (10,1 proc.).

Warto dodać, że w tym pięcioletnim zapoczątkowany został proces wolniejszego wzrostu zatrudnienia w przemyśle, którego udział w ogólnym zatrudnieniu zmniejszył się z 41,5 proc. w 1970 r. do 40,5 proc. w 1974 r.

TEMPO WZROSTU PRODUKCJI CZYSTYCH ZATRUDNIENIA I WYDAJNOŚCI PRACY W PRZEMYŚLE I SPOŁECZNYM W LATACH 1966—1973

Rok	Produkcja czysta		Wydajność	Procentowy udział przyrostu zatrudnienia w przyroście produkcji	Procentowy udział przyrostu wydajności pracy w przyroście produkcji
	tempo wzrostu	w %			
1966	7,1	3,6	3,4	51	49
1967	6,9	4,2	2,6	61	39
1968	9,1	3,6	5,3	40	60
1969	8,5	3,4	4,9	22	78
1970	7,3	1,6	5,8	34	66
1971	9,1	3,1	6,2	38	62
1972	10,5	4,0	6,2	23	77
1973	12,4	2,9	9,0	27	73
1974	12,3	2,4	9,7	26	74
średnie roczne tempo wzrostu					
1966—70	7,8	3,3	4,3	42	58
1971—74	11,1	3,1	7,8	28	72
Wstępne założenia planu 1976—80	8,5	0,85	7,6	10	90

Źródło: obliczono na podstawie Mały Rocznik Statystyczny 1974, s. 93 i 104; Rocznik Statystyczny 1975, s. 159 i 167; Wytoczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR, s. 12—14.

Wyprowadzić stąd można dwa ważne stwierdzenia. Po pierwsze, postulat pełnego zatrudnienia został całkowicie zrealizowany. Istniejące u progu pięcioletki lokalne trudności z zatrudnieniem kobiet zostały prawie całkowicie przezwyciężone. W sierpniu 1975 r. notowaliśmy przeciętnie 3 wolne miejsca pracy dla 1 kobiety poszukującej pracy. Po wtóre, gospodarka nasza weszła jednak także w fazę braku równowagi na „rynku pracy”, polegającą na znacznej nadwyżce wolnych miejsc pracy nad liczbą osób poszukujących pracy. W latach 1972—75 notowaliśmy od 50 do 106 tys. wolnych miejsc pracy dla mężczyzn; przeciętnie na jednego chętnego do podjęcia pracy czekało 29 do 81 wolnych miejsc pracy. W wielu miastach i aglomeracjach przemysłowych notowano 200—500 wolnych miejsc pracy dla jednego poszukującego pracy.

Stwarza to, z jednej strony, o wiele większą swobodę wyboru i łatwość zmiany pracy, z drugiej zaś prowadzi do dużej konkurencji zakładów pracy na „rynku pracy”, niekiedy także do kaperowania pracowników za wszelką cenę i przy użyciu wszystkich możliwych środków.

Wyprowadzić stąd można ważną tezę. Główny problem bieżącego i przyszłego pięcioletnia nie dotyczy faktycznego tempa wzrostu zatrudnienia, gdyż jest ono i będzie — powińmy to — zdeterminowane przyrostem zasobów ludzkich.

Zagadnieniem wielkiej społecznej i ekonomicznej wagi jest potencjalna

ocen pracowniczych i awansowania pracowników. Zakłady pracy chcąc zdobyć pracowników oferują im często wyższe płace. To z kolei prowadzi do szybszego wzrostu płac pracowników, którzy częściej zmieniają pracę. W obawie przed utratą pracowników zakłady stosują łagodne kryteria oceny pracy, zmniejszają wymagania pod względem kwalifikacji, jakości i dyscypliny pracy.

W miarę wzrostu niedoboru pracowników zwiększać się może także fluktuacja kadr, szczególnie liczba samowolnych porzuceń pracy. Zjawiska te obserwowaliśmy w latach 1971—74. Aczkolwiek ogólne współczynniki fluktuacji nie uległy w tym czasie zwiększeniu, to jednak wystąpiła wyraźna zmiana struktury zwolnień.

W przemyśle i budownictwie zmniejszyła się o przeszło połowę liczba zwolnień z inicjatywy zakładów pracy. Zwiększyła się jednak znacznie liczba zwolnień z inicjatywy pracowników. Najpoważniejsze zmiany wystąpiły jednak w strukturze tej ostatniej wielkości.

Otóż na ogólną liczbę 466 tys. przypadków zwolnień z inicjatywy pracowników w przemyśle, odnotowano 279 tys. przypadków samowolnych porzuceń pracy, w budownictwie na 224 tys. przypadków było 119 tys. samowolnych porzuceń pracy. Liczba samowolnych porzuceń pracy zwiększyła się w 1974 w stosunku do 1970 r. w przemyśle o 46 proc., a w budownictwie o 43 proc. Oznacza to, że w 1974 r. w przemyśle ponad 40 proc. a w budownictwie ponad 50 proc. pracowników odchodziących z zakładów pracy z własnej inicjatywy porzucało pracę. Pracownicy ci zostali przyjęci przez inne zakłady pracy bez formalnego rozwiązania stosunku pracy w poprzednim zakładzie. Zakłady te przyjmując tych pracowników postąpiły oczywiście niezgodnie z istniejącymi przepisami. Zjawisko to, sięgające w skali gospodarki 400 tys. przypadków porzucenia pracy, trudno rozważać jedynie w kategoriach przepisów formalnych. Ważne jest stwierdzenie, że niezależnie od formalnych przepisów zjawisko to rozszerza się w miarę pogłębiania się nierównowagi „rynku pracy”.

Postawy pracowników, ich skłonność do porzucania pracy — są w decydującym stopniu określone przez politykę zakładów pracy.

Pozornie wydaje się, że niedobór pracowników pojawiający się na „rynku pracy” ma charakter sztuczny i wyolbrzymiony, gdyż w samych zakładach występuje niepełne wykorzystanie zasobów pracy. Jednakże mechanizm deficytu działa w sposób autentyczny i realny, prowadząc do napięć, konkurencji i wielu ujemnych następstw ekonomicznych i społecznych.

Z rozważań tych można wyprowadzić wnioski o ważnym znaczeniu równowagi rynku pracy dla efektywnego gospodarowania zatrudnieniem.

W najbliższym pięcioletniu przyrost zasobów pracy znacznie się zmniejszy, skala gospodarki i skala inwestowania będzie większa o ok. 50 proc. Zapewnienie równowagi na „rynku pracy” w tych warunkach nie będzie sprawą łatwą, wymaga wielu działań i nowych instrumentów ekonomicznych.

SKALA POŻĄDANEJ SUBSTYTUCJI PRACY ŻYWEJ

Przyrost zasobów ludzkich w trzech najbliższych pięcioletniach będzie się systematycznie zmniejszał: z 1,9 mln w latach 1971—75 do 1,3 mln w latach 1976—1980 i do ok. 0,6 mln osób w całym dziesięcioleciu 1981—1990.

Gdyby więc utrzymać dotychczasową ekstensywną gospodarkę zasobami pracy, prowadziłoby to do znacznego zwiększenia potencjalnego niedoboru pracowników i poważnych napięć na „rynku pracy”. Bariera zatrudnienia mogłaby wpłynąć hamując na dynamikę wzrostu gospodarczego. Wyłania się więc problem mechanizmów ekonomicznych i czynników umożliwiających utrzymanie wysokiej dynamiki rozwoju w warunkach malejących przyrostów zasobów ludzkich. Główny kierunek poszukiwań odnosi się do uruchomienia w znacznie większej skali intensywnych, niezatrudnieniowych czynników wzrostu gospodarczego.

Jeżeli chcemy utrzymać wysokie tempo wzrostu gospodarczego w nadchodzącym okresie, dokonać się musi przyspieszona substytucja ilości pracy przez jej wydajność.

Skala tej substytucji zasługuje na szersze omówienie. Punktem wyjścia do oszacowania wielkości pożądanej substytucji jest prognoza wzrostu zatrudnienia oparta na ekstrapolacji trendu, a więc na relacjach wzrostu produkcji i zatrudnienia typowych dla minionego dwudziestolecia. Drugim elementem naszego rachunku jest pożądany wzrost zatrudnienia lub wzrost równy przyrostowi zasobów ludzkich. Pożądany wzrost zatrudnienia spełnia warunek równowagi, a więc umożliwia nie tylko realizację pełnego zatrudnienia, lecz także wyklucza duże niedobory pracowników w gospodarce narodowej. Wiadomo z poprzednich rozważań, że potencjalny wzrost zatrudnienia może znacznie przewyższać faktyczny przyrost zasobów ludzkich. Różnica między tymi wielkościami określa skalę pożądanej przyspieszonej substytucji zatrudnienia przez przyrost wydajności pracy. Wyniki tej analizy ilustruje tabela 4.

SKALA POŻĄDANEJ SUBSTYTUCJI ILOŚCI PRACY PRZEZ JEJ WYDAJNOŚĆ W GOSPODARCE NARODOWEJ

Wyszczególnienie	Przyrost w tys. osób			
	1976—80	1981—85	1986—90	Ogółem 1976—1990
Prognoza potencjalnego przyrostu zatrudnienia ¹⁾	2 140	2 540	3 040	7 720
Prognoza pożądanej przyrostu zatrudnienia ²⁾	1 310	430	160	1 900
Skala pożądanej substytucji (w tys. osób)	830	2 210	2 880	5 820

¹⁾ Wg wariantu opartego na ekstrapolacji trendu z lat 1950—1975.
²⁾ Pożądaną wzrost zatrudnienia określony został na poziomie maksymalnego przyrostu zasobów ludzkich.

plina, ale i trudno apelować skutecznie o poprawę dyscypliny, gdy kuleje organizacja. Robotnik łatwiej zrozumie, że wszystkich kosztuje jego spóźnienie czy absencja, gdy rzadko zdarzy mu się stać bezczynnie przy maszynie, której na czas nie wyremontowano, lub przy stanowisku, do którego nie dotarły surowce. Warunki, w jakich pracujemy, zależą od wszystkich, ale nie od wszystkich w równym stopniu. Specjalne zadania przypisane przecież być powinny do kadry kierowniczej.

Przed potężną zaś częścią społeczeństwa staje niełatwe zadanie odrzucenia bicia, który nieustannie sam na siebie kręcimy. Mam tu na myśli ów dualizm postaw, podwójną mentalność konsumenta-producenta. Ci sami ludzie przeistaczają się wewnętrznie w momencie, gdy rolę spożywcy zamieniają na rolę wytwórcy. Jednego dnia szlag ich trafia, gdy sprzedano im bubel, drugiego z czystym sumieniem własną partanią zgowią podobny los bliźniemu. Zdziwiająca jest metamorfoza, jakiej ulegamy siedząc po drugiej stronie urzędowego biurka. Czas petenta, którym jutro będziemy sami, mało co się liczy. Poczekaj, zmieknij, nabierze szacunku. Czekając po drugiej stronie odbierzemy to, i słusznie, jako przejaw lekceważenia człowieka, marnotrawstwa naszego, a więc i społecznego czasu.

W ludzkich postawach i umiejętnościach, jakości pracy, widzi się dziś nie bez powodu czynnik decydujący o powodzeniu naszych zamierzeń, o kształcie społeczno-gospodarczego postępu Polski. Dlatego batalia o wyższą jakość pracy to dziś polski problem nr 1.

ANDRZEJ LUBOWSKI

cy żywej przez pracę uprzedmiotowionej.

Tę nową sytuację nie zawsze uwzględniają biura projektów, które ciągle jeszcze nader często projektują zakłady adekwatne do warunków wielkiej obfitości pracy żywej, a nie do potrzeb lat osiemdziesiątych.

W skali makroekonomicznej podstawowy problem odnosi się do zmiany struktury inwestowania. W przeszłości ok. 70-80 proc. inwestycji przeznaczano na budowę nowych zakładów. Z natury rzeczy wzrost produkcji realizowany drogą budowy nowych zakładów wymagał relatywnie dużego wzrostu zatrudnienia w nowych zakładach. W przyszłości nastąpić powinno przesunięcie proporcji w kierunku zwiększania udziału nakładów inwestycyjnych na modernizację istniejących zakładów. Wiadomo bowiem, że modernizacja prowadzi do wzrostu produkcji przy zmniejszonym zatrudnieniu. W rezultacie zwiększenia udziału inwestycji modernizacyjnych oczekiwać należy wolniejszego wzrostu zatrudnienia w całym przemyśle. Przyniesie zatrudnienia będzie wchłaniany przez nowe zakłady. W zakładach istniejących następować będzie wzrost produkcji przy spadku lub stabilizacji poziomu zatrudnienia.

Użyte na wstępie pojęcie substytucji ilości pracy przez jej wydajność obejmuje o wiele szerszy zakres działań niż zastępowanie pracy żywej przez pracę uprzedmiotowioną. Pojęcie to odnosi się bowiem do wszystkich działań, które prowadzą do oszczędności pracy żywej i zwiększenia wydajności pracy na zatrudnionego. Obejmuje więc także postępowanie organizacyjne, usprawnienie struktur organizacyjnych, lepsze wykorzystanie czasu pracy, strukturalne przesunięcie pracowników do działów o wyższej wydajności pracy itd.

Na problematykę tę można więc spojrzeć z punktu widzenia uruchomienia nowych sił napędowych gospodarki, wykorzystania potencjalnych możliwości i rezerw naszej gospodarki.

Przyspieszenie procesu substytucji wzrostu zatrudnienia przez wzrost wydajności pracy uwarunkowane jest uruchomieniem nowych instrumentów ekonomicznych sprzyjających oszczędnej gospodarce zatrudnieniem w zakładach pracy. Z punktu widzenia motywacji proces substytucji ilości pracy przez jej wydajność oznacza także stworzenie szerszych możliwości substytucji liczby zatrudnionych przez wyższe płace przeciętne. W ramach danego funduszu płac należy dążyć do zatrudnienia mniejszej liczby pracowników, pracujących sprawniej i wydajniej, i uzyskujących relatywnie wyższe płace.

Utrzymanie równowagi na „rynku pracy” w nadchodzącym pięcioleciu wymaga więc stworzenia nowego systemu instrumentów ekonomicznych i motywacji oraz nowych reguł gry w polityce zatrudnienia. Wróćmy do tych problemów w najbliższej przyszłości.

MIECZYSLAW KABAJ



Fot. S. ZUBCZEWSKI

DANUTA ZAGRODZKA

MASZYNISTKI

WKRAJU, w którym papier jest przepustką do życia, maszynistkom powinno być jak w raj. A nie jest. Choć ilość pism, zaświadczeń i korespondencji, krążących po Polsce osiąga monstrualne rozmiary, a każdy z tych papierków musiał w jakimś momencie przejść przez ręce maszynistek, ich status społeczny jest mizerny. I tak odczuwają to wszystkie, z którymi rozmawiałam, łącznie z panią prezes Stowarzyszenia Stenografów i Maszynistek Haliną Borysową. Jakkolwiek każda dziewczyna, która kończy jeden z licznych kursów maszynopisania wie, że czekają na nią dwa wolne miejsca pracy, traktuje ten kurs raczej jako odcinek do kariery urzędniczej — jeśli słowo kariera jest tu w ogóle na miejscu — aniżeli start do hali maszyn.

Młoda maszynistka jest zjawiskiem prawie nieistniejącym. Rozgarnięta dziewczyna, która w dodatku umie pisać na maszynie, szybko zostaje sekretarką, asystentką czy kimś w tym rodzaju. Krótko mówiąc, maszynistek wiek średni i starszy, 40 proc. z nich nie ma średniego wykształcenia, chociaż jest to w myśl zarządzenia Min. Pracy, Płac i Spraw Socjalnych z 1973 r. warunkiem w tym fachu niezbędny. Zwolnione z tego cenzusu zostały tylko maszynistki w wieku powyżej 45 lat — odsetek ten pokazuje więc także strukturę wieku.

ILE ICH POTRZEBA?

Kwalifikacje polskich maszynistek, twierdzą korzystający z ich usług, nie są na ogół zbyt wysokie. Potwierdziła to przeprowadzona przez Stow. Stenografów i Maszynistek weryfikacja, której przy wprowadzaniu nowych zasad wynagradzania powinny się być poddać wszystkie maszynistki. Wiele z nich nie osiągnęło nawet ustawowego minimum — 180 uderzeń na minutę bez błędów. Dla porównania — tegoroczny mistrz zawodów „Intersteno” Hiszpan Gallardo miał ponad 500 uderzeń na minutę, a Austriak Steinhäuser, zresztą dziennikarz, na maszynie elektrycznej — przeszło 600.

Nikt dokładnie nie wie, ile jest w Polsce maszynistek, nikt też, sądzę, nie byłby w stanie powiedzieć, ile ich potrzeba. Powtarza się opinia, że brakuje nie tyle maszynistek w ogóle, co maszynistek dobrych. Faktem jest, że nazwiska tych dobrych — ludzie, zwłaszcza ze świata nauki i kultury, podają sobie z ust do ust i to jako dowód szczególnej przyjaźni.

Strona maszynopisu osiąga na wolnym rynku cenę 10 zł jeszcze niedawno — 7 zł. Jest to pewnie rezultat ogólnego wzrostu kosztów pracy, ale i popytu. Brak maszynistek w biurach, fabrykach i instytucjach nie zawsze odzwierciedla sytuację na rynku pracy. Często chodzi o etaty. Etaty dla tzw. pracowników pomocniczych uważa się za zbędne obciążenie list płac. W tej osobliwej bucharterii taniej wydaje się czas wysoko kwalifikowanych specjalistów, którzy zamiast pracować koncepcyjnie, jednym palcem wystukują rozmaite pisma, co sprawną maszynist-

ka zrobiłaby dwa, albo trzy razy szybciej.

Sytuacja nie jest dobra, a i perspektywy, wobec tego, że młode siły nie chcą żyć z pisaną na maszynę — nie najlepsze. Uzasadnienie, że jest to zawód potrzebny i pożyteczny, że bez dostatecznej kadry wyspecjalizowanych maszynistek sprawność życia publicznego może być zakłócona, wydaje się wyważone otwartych drzwi. Wypada natomiast zastanowić się, dlaczego maszynopisanie nie jest zawodem atrakcyjnym i co zrobić, żeby nie przepiękne papiery nie blokowały nam interesów handlowych, spraw urzędowych i prywatnych.

10-KM PALCAMI

Przyczyn spadku atrakcyjności zawodu zwykło się upatrywać w płacach. W rzeczywistości płace są tylko jednym z elementów, dość istotnym zresztą. Maszynistki przez wiele lat opłacane były marnie. Dwadzieścia z górą lat obowiązywały tu cenniki z roku 1951 — 60 groszy za punkt — punkt zaś zdobywa się za stronę maszynopisu (1800 uderzeń, 30 wierszy) pomnożoną o współczynnik pracochłonności. Dopiero dwa lata temu cenniki zostały zmienione i punkt kosztuje dziś 1,50 — 1,65 zł. Maszynistkom, które nie pracują w systemie akordowym, zwiększono podstawę uposażenia. Podobno niektóre z nich, pracując na akord, np. w biurach projektów czy fabrykach, mogą zarobić 4-5 a nawet więcej tysięcy. Zwykle pracują jednak wtedy dłużej, aniżeli przewiduje ustawowy czas pracy.

Dobra maszynistka, z 30-letnim stażem i na kierowniczym stanowisku, w mojej macierzystej redakcji zarabia jednak tylko 3400 zł — już po podwyżkach. Jest to akurat wysokość tegorocznej średniej płacy w gospodarce społecznej — dużo czy mało? Zważywszy uciążliwość pracy w redakcji, staż i potrzebne kwalifikacje, chyba nie za wiele.

Podobno jednak po wprowadzeniu nowych zasad wynagradzania, pracownicy niektórych instytucji, zwłaszcza biur projektów, zgłaszali pretensje, że maszynistki zarabiają za dużo. Można przypuszczać, że nie narzekają raczej personel produkcyjny — inżynierowie i projektanci, którym na ogół zależy, żeby papiery jak najprędzej przepłynęły przez hale maszyn, obojętnie za jaką cenę — a bardziej personel administracyjny. Pewien starszy urzędnik powiedział mi nie bez oburzenia: — Trzeba zachować jakieś proporcje, one nie mogą zarabiać więcej niż średni urzędnik. Próby obalenia ustalonych hierarchii płac, co niedawno postulował w „Polityce” Jerzy Urban, wobec konieczności uprzywilejowania zawodów niewdzięcznych a potrzebnych, napotkają na ostry opór, to pewnie. I nie będzie to na pewno opór lekarzy wobec uprzywilejowania pielęgniarek, czy inżynierów wobec maszynistek. Najbardziej protestować będą grupy stosunkowo bliskie rangą, które swoje niewielkie satysfakcje czerpały dotąd z faktu, że jest jeszcze ktoś mniej ważny, gorzej płatny od nich. Naruszenie istniejącej hierarchii, zwłaszcza

czą mocno zakorzenionej, zawsze jest ryzykowne, chociaż bywa niezbędne. Może zakłócić funkcjonowanie ratowanej dziedziny w zgola nieoczekiwanym miejscu.

Nie wiem, czy wyrażnie uprzywilejowanie finansowe maszynistek jest niezbędne już dziś, nie wykluczam, że będzie konieczne za parę lat. Jest to bowiem, poza wszystkim, autentycznie ciężka praca fizyczna. Obliczono, że pisząc z szybkością 180 uderzeń na minutę, maszynistka w ciągu dnia pracy przebiega palcami 10 kilometrów, do tego dochodzi ciągle napięcie i przeważnie pośpiech. Zrozumiałe, że skoro o pracę łatwo, każdy szuka sobie zajęcia lżejszego i przyjemniejszego. Ta praca zaś nie jest ani lekka, ani przyjemna, chyba, że ktoś ją autentycznie polubi, co zdarza się wcale nierzadko. Dla pozostałych, trzeba ją trochę pozłocić, by dała się lubić.

NIE CHODZI O PIENIĄDZE

Jednak maszynistki, z którymi rozmawiałam, a także te, które wypowiadały się w ankietach drukowanych w „Stenografie Polskiej” twierdzą, że nie chodzi im tak bardzo o pieniądze. Najbardziej doceniają im warunki pracy i traktowanie ich przez współpracowników.

W Polsce nie ma ani jednej hali maszyn ze słuchawkami — co pozwoliłoby na większą koncentrację, a w rezultacie na większą wydajność. O takich luksusach zresztą polskie maszynistki wcale nie marzą. Na razie dopominają się o światło, wentylację, większe pomieszczenia, lepsze maszyny. W wielu biurach nie można się doprosić prawidłowego oświetlenia, hale maszyn są ciśnie. Nie izolowane od zewnętrznych hałasów, duszne.

Nawet takie drobiazgi, jak zbyt śliska biurka, po których maszyna jeździ, czy krzesła, dalekie od wymagań ergonomii, po prostu niewygodne, mogą w czasie 8-godzinnej dnia pracy dobrze obrydzić życie. Te niewygody są na ogół łatwe do usunięcia. Przeważnie nie chodzi o pieniądze, tych nie brakuje przecież na częste, nierzadko zupełnie bezsensowne remonty czy przebirowanie. Pieniądza są, nie ma natomiast wiedzy, troski, świadomości, jak bardzo wyniki zależą od warunków pracy. Wie się o tym już na ogół jeśli chodzi o robotników w fabrykach — maszynistki jednak są zwykłe poza głównym nurtem zainteresowania zakładu, w którym pracują. Prymitywizm organizacji pracy biurowej w Polsce jest znany, maszynistki zaś są tylko fragmentem i to nie najważniejszym tej pracy. O ich sprawy poza Stowarzyszeniem Stenografów i Maszynistek, mało kto się troszczy. Do wyjątków należą instytucje, które zwracają się do Stowarzyszenia z prośbą o pomoc i konsultacje przy urządzaniu hal maszyn.

Głównym wyposażeniem tych hal będą niebawem polskie „Luczniki”. Maszynistki bardzo na nie narzekają. Ze twarde, ciężkie, ustawienie marginesu wymaga podobno kwalifikacji inżynierskich, polskie taśmy nie pasują, a układ klawiatury jest taki, że często w naszym języku używane samogłoski a, o, i, u wypadają

ją akurat pod najsłabsze palce. Są to mankamenty dość poważne i producent powinien je chyba wziąć pod uwagę.

Sterane nerwową pracą i stałym napięciem maszynistki często chorują. Na nerwice przede wszystkim, także na choroby kręgosłupa i stawów. Zawód ten, jak mówią, „rozwała” ręce. I właściwie nie da się go uprawiać przez całe życie. Stałe dokształcanie maszynistek wydaje się więc koniecznością, umożliwiającą im po jakimś czasie zmianę zawodu.

SKĄD TA OPINIA?

Niepojęte są natomiast narzekania maszynistek na złe traktowanie ich przez otoczenie. A wszystkie niemal zgodnie uważają, że stosunek do zawodu i do nich osobiście jest zły. Nie wykluczam, że jak zwykle w babskich zawodach sporo tu przeżulenia i kompleksów. Ale coś w tym musi być i nie należy nad tym przechodzić do porządku dziennego. Jest to na pewno przede wszystkim rezultat niskiej kultury ogólnej współpracowników. Także, niewątpliwie, efekt niskich kwalifikacji samych maszynistek. Skoro tak wiele z nich nie ma średniego wykształcenia, poziom w halach maszyn nie zawsze jest najwyższy.

Do zadrzań między maszynistkami a osobami korzystającymi z ich usług dochodzi zapewne także i dlatego, że ilość papierków do przepisaną jest niemal zawsze ogromna, zawsze są one bardzo pilne, a maszynistek za mało, co łatwo doprowadza do wybuchów, pretensji, skarg itp.

Najprostsze, z pozoru przynajmniej, wydaje się poprawienie warunków pracy maszynistek. Wymaga to w końcu tylko pewnych zabiegów technicznych i pieniędzy. Zapewnienie im społecznego uznania, dobrych stosunków w pracy jest znacznie bardziej skomplikowane i potrzeba na to całego zespołu zabiegów — od plac. poprzez wzrost kwalifikacji po ogólniejsze zmiany w biurowym sposobie bycia.

Wydać się jednak, że nawet spełnienie tych wszystkich warunków nie rozwiązałoby sprawy do końca. Wielkie, niezapokojone zapotrzebowanie na maszynopisanie jest częścią autentycznej potrzeby współczesnego życia publicznego, częściowo jednak ujawnia także anomalie tego życia. Rozdęta biurokracja, nadmiar papierów, zła organizacja pracy wzmagają ten popyt w sposób nieuzasadniony.

Także im gorsze maszynistki — tym więcej ich potrzeba. Niektóre instytucje porozumiewały swoje hale maszyn i zamiast 4-5 pań przewyżę jedną bardzo dobrą maszynistkę. I mają spokój.

POŻĄDANA UMIEJĘTNOŚĆ

Popyt na maszynistki zwiększa się także przez to, że ludzie w Polsce nie umieją pisać na maszynie. Nawet sekretarki, nawet dziennikarze, w najlepszym przypadku stukają w maszynę jednym palcem. Tymczasem na świecie umiejętność ta jest

jedną z podstawowych kwalifikacji każdego pracownika umysłowego. I większość z nich ma także maszynę na własność.

U nas zaś wielkie nieraz zespoły nie mają do dyspozycji ani jednej maszyny, na której można by szybko napisać notatkę czy krótki list. Z wszystkim tym trzeba lecieć do hali maszyn, czekać, prosić.

W instytucjach, biurach itp. było podobno w 1974 r. 650 tys. maszyn do risania. Część z nich można spokojnie od razu spisać na straty. Liceum Ekonomiczne w Kłobucku ma np. cały zestaw wysłużonych maszyn dla muzeum techniki — Remington, Triumph i masę innych. Liceum oferowało je zresztą muzeum, w nadziei, że zamiast nich dostanie coś nowego. Bez skutku. Absolwenci tego liceum uczą się więc dalej na zdezelowanych sprzęcie, dzięki uporowi jednej nauczycielki, która uważa, że absolwent liceum ekonomicznego bez umiejętności pisania na maszynie to w dzisiejszych czasach nieporozumienie. Ale ile jest takich upartych nauczycielek? Toż absolwenci naszych liceów ekonomicznych i nieekonomicznych na maszynę nie piszą. I to w czasach, kiedy amerykańscy pedagodzy rozważają możliwość uczenia maszynopisania już w szkole podstawowej, twierdząc, że nie przesadzą, że jest to współczesnemu człowiekowi potrzebne bardziej niż umiejętność pisania ręcznego.

Nie ma u nas jednak szczególnej motywacji do tej nauki, skoro w instytucjach maszyn jest za mało, a zdobycie jej na własny użytek jest prawie niemożliwe. Tylko członkowie rozmaitych związków twórczych mają, a w każdym razie mieli czasem okazję nabywania na raty małych maszyn. W zeszłym roku na rynku było 3 tys. maszyn „Lucznik” po 9600 zł. Ani na kieszonkę, ani na potrzeby przeciętnego odbiorcy.

W tym roku „Luczników” ma być na rynku 5,5 tys. Kto ma dolary, może kupić zgrabną i lekką maszynę w PeKaO, ale to też nie jest propozycja masowa. Są jeszcze maszyn używane — instytucje państwowe wyżywają się rocznie 3 tys. takich maszyn w cenie 1 — 2,5 tys. zł. Wszystko to jest kropla w morzu.

Maszyna do pisania nie jest i nie powinna być przedmiotem luksusu, jest to zwykłe narzędzie pracy, wielu ludziom po prostu niezbędne. Pewne nadzieje budzi rozpoczęcie w przyszłym roku produkcji małych maszyn walzkowych w fabryce w Radomiu, które, ufajmy, będą bardziej udane niż duże.

Myszę, że upowszechnienie umiejętności pisania na maszynie, poza zrozumiałym przyspieszeniem obiegu wielu spraw i zwykłym ułatwieniem życia, poprawiłoby też stosunek do zawodowych maszynistek. Wystarczy samemu postukać kilka godzin na maszynie, żeby wiedzieć, jaki to wysiłek, i z większym szacunkiem i zrozumieniem odnieść się do tych, które to muszą robić stale.

Gdyby zaś wszystko zawiodło... Na Uniwersytecie w Kioto opracowano prototyp maszyn, która pisze sama pod dyktando. Przetwarza ona drgania dźwiękowe na fale elektryczne i pisze alfabetem jacińskim. A więc jesteśmy uratowani!

woda do rezygnacji z proponowanego stanowiska, jest nieuzasadniona. Taki też punkt widzenia reprezentował przedstawiciel rady zakładowej, powołując się na uzgodnienie stanowiska z podstawową organizacją partyjną. Powód więc mógł objąć stanowisko referenta ekonomicznego w sekcji zaopatrzenia i zbytu, a jeśli tego nie uczynił, to ujemnych skutków swojego postępowania nie może przerzucać na stronę pozwaną.

Z tych przyczyn rewizja nadzwyczajna jest nieuzasadniona i jako taka podlega oddaleniu (art. 421 par. 1 k.p.c.)."

nowe przepisy i zarządzenia

ORGANIZACJA I ZAKRES DZIAŁANIA INSPEKCJI NASIENNEJ

W myśl rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 19 sierpnia 1975 r. w sprawie organizacji i zakresu działania Inspekcji Nasienniej (Dz.U. Nr 29, poz. 156) zadaniem tej Inspekcji jest sprawdzanie i uznawanie materiału siewnego za kwalifikowany lub handlowy oraz kontrolowanie materiału siewnego w produkcji i obrocie.

Organami Inspekcji Nasienniej są okręgowe inspektoraty w Białymstoku, Bydgoszczy, Gdańsku, Katowicach, Kielcach, Koszalinie, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Olsztynie, Opolu, Poznaniu, Rzeszowie, Szczecinie, Warszawie, Wrocławiu oraz w Zielonej Górze.

Rozporządzenie określa m. in. uprawnienia okręgowych inspektoratów, jak też sposób wykonywania czynności kontrolnych przez pracowników tych inspektoratów.

KOORDYNACJA MIĘDZYRESORTOWA W ZAKRESIE GOSPODAROWANIA NIEMETALICZNYMI SUROWCAMI WYRÓBNICZYMI

Prezes Rady Ministrów zarządzeniem nr 61 z dnia 15 września 1975 r. (Monitor Polski Nr 29, poz. 178) powierzył koordynację międzyresortową w przedmiocie gospodarowania poszczególnymi niemetalicznymi surowcami wyrobniczymi następującym ministerstwom: Przemysłu Lekkiego, Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Przemysłu Chemicznego, Przemysłu Spożywczego i Skupu, Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego oraz Handlu Wewnętrznego i Usług, każdemu — w wymienionym w zarządzeniu zakresie.

SKRÓCONY CZAS PRACY W PODZIEMNYCH KOPALNIACH RUD

Rada Ministrów uchwałą nr 164 z dnia 29 sierpnia 1975 r. (Monitor Polski Nr 29, poz. 177) wprowadziła w podziemnych kopalniach rud metali nieżelaznych, rud żelaza i w przedsiębiorstwach górniczych wykonawstwa inwestycyjnego skrócony czas pracy dla pracowników, zatrudnionych pod ziemią przy wymienionych w uchwale pracach.

Czas pracy wspomnianych pracowników został skrócony poczynając od 23 września 1975 r. do 42 bądź 36 godzin tygodniowo przy równoczesnym odpowiednim podwyższeniu godzinowej stawki płac.

OBOWIĄZKOWE UBEPIECZENIE ROLNIKÓW

Minister Finansów zarządzeniem z dnia 10 września 1975 r. (Monitor Polski Nr 29, poz. 181) ustalił taryfę składek za obowiązkowe ubezpieczenie rolników od nieszcześliwych wypadków i odpowiedzialności cywilnej.

Składka roczna za te ubezpieczenia wynosi od 120—1080 zł w zależności od obszaru użytków rolnych gospodarstwa rolnego.

Nowe zarządzenie wejdzie w życie z dniem 1 stycznia 1976 r.

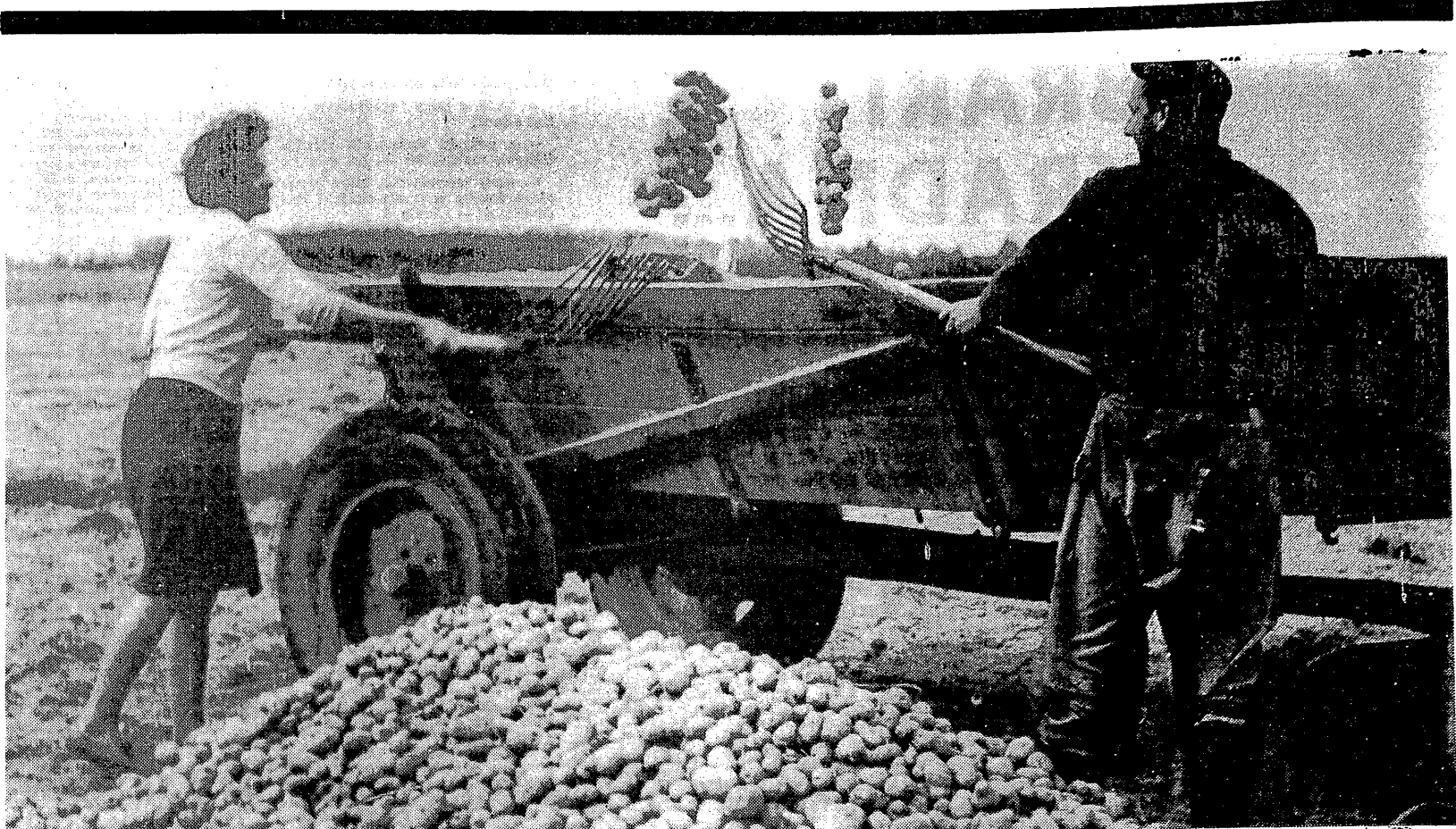
OPROCENTOWANE RACHUNKI BANKOWE OSÓB FIZYCZNYCH W WALUCIE ZAGRANICZNEJ

Ukazało się nowe zarządzenie Ministra Finansów datowane z 1 września 1975 r. w sprawie zezwolenia dla osób fizycznych krajowych dewizowych na posiadanie oprocentowanych rachunków bankowych w walucie zagranicznej (Monitor Polski Nr 28, poz. 174).

Zezwala ono osobom fizycznym krajowcom dewizowym na posiadanie w NBP i w Banku Polska Kasa Opieki (a także w Banku Handlowym) oprocentowanych rachunków bankowych „A” i „B” w walucie zagranicznej na warunkach określonych w zarządzeniu, korzystniejszych niż warunki dotychczasowe.

Opracowała:

STANISŁAWA ZIELIŃSKA



Fot. B. WIEŁOPOLSKA

ZIEMNIAKI DLA PRZETWÓRNI

SZCZEPAN R. ŁAWNICZAK

RZĄDOWY PROGRAM rozwoju i unowocześnienia uprawy oraz przetwórstwa ziemniaków zakłada w najbliższych latach wzrost ich produkcji do około 50 mln ton, natomiast zmniejszenie arealu uprawy do około 16 procent w strukturze upraw. Jednocześnie zamierzenia intensyfikujące eksport, m.in. przetworów z ziemniaka, obligują przemysł ziemniaczany do zwiększenia prawie o 50 tys. ton eksportu przetworów krochmalowych, głównie do krajów kapitalistycznych. Z drugiej strony wysokie uznanie rynku dla wytwarzanych od niedawna uszczelnionych przetworów ziemniaka stawia przed tym przemysłem wcale niemałe zadania.

Wypada się zgodzić z dr STANISŁAWĄ ROZTROPOWICZ z Oddziału Instytutu Ziemniaka w Jadwisinie, która w numerze 24 „ZG” pisze o nieuregulowanych sprawach, zarówno jeśli chodzi o masową uprawę ziemniaków, głównie w zakresie agrotechniki oraz o organizację skupu i obrotu ziemniakami jadalnymi. Zresztą sprawy te rozwinęła na niedawnej konferencji na temat zwiększenia produkcji i racjonalnej gospodarki ziemniakami, zorganizowanej przez Redakcję „Gromady-Rolnika Polskiego”, „Płonu” i „Głosu Koszalińskiego”. Jednak jak każda wypowiedź dyskusyjna i ta zawiera momenty, wobec których można mieć odmienne zdanie.

REJONIZACJA UPRAWY

Mimo, że nauka rolnicza dostarczała w okresie powojennym kilkadziesiąt nowych odmian ziemniaków, jednak rynek potrzeb przemysłu ziemniaczanego jak i masowego konsumenta jest w tym względzie spory i słuszenie oczekuje dalszych propozycji ze strony naukowców. Istnieje zresztą w tej sprawie porozumienie między Instytutem Ziemniaka, Zjednoczeniem Nasiennictwa Rolniczego i Ogrodnictwa a Zjednoczeniem Przemysłu Ziemniaczanego. Chociaż nasz przemysł krochmalniczy przeraża zaledwie 3 proc. zbiorów, jest po Holandii drugim potentatem na świecie i nie dziwnego, że z racji arealu uprawianych ziemniaków musi on szybciej aniżeli inne przemysły modernizować i rozbudowywać swój potencjał przetwórczy, aby mógł sprostać oczekiwaniom. Jeśli w czasie tej 5-latki w 20 zakładach przetwórczych Zjednoczenia Przemysłu Ziemniaczanego zainwestowano 1,173 mln zł to niedawno zatwierdzony plan inwestycyjny na 5-latkę 1976—80 przewidywał nakłady rzędu 3,5 mld zł. Wróć jeszcze do rozdziału tych środków.

Na bieżącą kampanię przerobu — jak mi powiedział naczelnik Wydziału Kontraktacji, Skupu i Transportu ZPZ mgr inż. ANDRZEJ KIERONCZYK — zawarł umowy na dostawę około 1,5 mln ton ziemniaków u 180 tys. plantatorów. Są to w przeważającej masie kontrahenci indywidualni, bowiem dostawy od producentów sektora państwowego i spółdzielczego nie przekroczyły 20 tys. ton. Gwoli wyjaśnienia podaję, że jeszcze w 1970 roku przemysł ziemniaczany skupił niecały milion ton, aż od 340 tys. plantatorów. Na kon-

centrację produkcji wpłynęło niewątpliwie zniesienie obowiązkowych dostaw i zmiana cen na ziemniaki, dokonana w marcu 1973 roku uchwałami RM nr 49 i 50.

W nowym układzie administracyjnym kraju baza przetwórcza tegoż przemysłu została zlokalizowana w 36 województwach i 780 gminach. Najpoważniejszymi dostawcami są: woj. łomżyńskie — 140 tys. ton, konińskie — 137 tys. ton, szczecińskie — 98 tys. i wrocławskie — 56 tys. ton. Wspomniana rejonizacja doprowadziła do tego, że już w chwili obecnej przemysł ziemniaczany będzie skupował około 900 tys. ton w promieniu do 100 km od swoich zakładów produkcyjnych, czyli w zasięgu transportu drogowego.

Zarówno na wspomnianej konferencji przedstawiceli Ministerstwa Rolnictwa, naukowców, producentów ziemniaków i dziennikarzy, jak i później w rozmowach z kierownictwem ZPZ, najwięcej kontrowersji budziła sprawa odbioru bezpośredniego — wprost z pola do zakładu przetwórczego. W ostatnich 4 latach przemysł ziemniaczany odbiór ten zwiększył z 12 tys. ton do 200 tys. ton w kampanii. Osiągnął to wydając na modernizację punktów skupu około 44 mln zł. Najlepiej sprawę tę rozwiązuje Szczecińskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemniaczanego w Nowogardzie, Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemniaczanego, Hławskie PPZ i Wrocławskie PPZ w Niechowie. Niechów w minionej kampanii z czterech gmin swego bezpośredniego zaplecza koło Góry Śl. odebrał bezpośrednio aż 90 proc. masy. Rejon tych zakładów jest jednym z tworzonych przez przemysł ziemniaczany intensywnych rejonów uprawy ziemniaków przemysłowych.

W efekcie kompleksowego oddziaływania na bazę produkcyjną w rejonie Niechowa powstaje coraz więcej gospodarstw specjalistycznych, nastawionych na tę uprawę. I tak na przykład w ostatnich 3 latach: WŁADYSŁAW KUBIK z Łagiszy zwiększył dostawy z 3 do 33,5 ton, JULIAN PYCIARZ z Goli Górowskiej — z 10 do 40 ton, a BRONISŁAW INGLOT z Wąsosz — z 10 do 42,2 ton. Podobne zjawisko obserwuje się w gminach wokół zakładów w Nowogardzie w woj. szczecińskim i w Stawie w woj. konińskim.

Wskutek znanych reżimów inwestycyjnych przemysł ziemniaczany musiał przesunąć dalszy, rozległy program unowocześnienia bazy skupu z uwzględnieniem odbioru bezpośredniego na lata 1980—85. W końcu przyszłej 5-latki mimo to będzie odbierał z pola około 30 proc. skupowanej masy. Do tej kampanii przygotował 150 punktów, przez które przejdzie około 1,5 mln ton ziemniaków.

Perspektywnie powstaną bazy punkty skupu przy każdym zakładzie o zdolności składowania 10—20 tys. ton. Ziemniaki będą magazynowane z zachowaniem wszelkich wymogów w przyzmacach a nie w kopcach. Właśnie w chwili obecnej ograniczone zdolności składowisk przy zakładach przetwórczych również nie pozwalają na radykalne

zwiększenie odbioru w relacji pole — zakład przetwórczy.

Jak mi powiedział dyrektor ZPZ doc. dr JAN HEYDRICH, z owego 1,5 mln ton tegorocznego skupu w stu dniach kampanii jesienno-zimowej przerobią 1,2 mln ton, a nadwyżka będzie stanowiła zapas produkcyjny I kwartału przyszłego roku. Przemysł ziemniaczany, czyni spore wysiłki aby wydłużyć okres przerobu, co ma istotne znaczenie dla stabilizacji załóg i likwidacji sezonowości zatrudnienia.

NA POMORZU ŚNIEG — NA DOLNYM ŚLĄSKU SADZA

Obecnie większość plantacji jest obsadzona skrobiowymi odmianami Uran i Lenino. Około 70 proc. arealu. Do uprawy wchodzi kolejne odmiany skrobiowe o zawartości 18—20 proc. jak: Prosa, Noteć i Nysa. Są to jednak przeważnie odmiany późne. Wobec tego zakłady przemysłu ziemniaczanego ruszają dopiero z przerobem w drugiej dekadzie września każdego roku. Gdyby ten przemysł dysponował wczesnymi odmianami do przerobu o podwyższonej zawartości skrobi mogłoby kampanię rozpocząć wcześniej, co najmniej o 10 dni. Zwiększyłoby to przerób we wszystkich zakładach o 100 tys. ton, poza tym wykorzystano by luzy w transporcie tuż przed szczytem skupu buraków cukrowych.

Niestety, wcześniejsza odmiana Osa o zawartości skrobi około 18 proc. z uwagi na drobne kłęby, nie cieszy się popularnością u rolników. Z kolei przemysłowi nie opłaca się przerabiać bulw Giewonta i Pierwiosnka o zawartości 10 proc. skrobi. Dlatego — jak to mówią fachowcy — „gwałcił się odmiany” Uran i Lenino, dokonując ich zbioru wcześniej, aniżeli osiągną pełną dojrzałość skrobiową.

Wobec istniejących trudności transportowych niedostatek odbioru bezpośredniego równoważy dopłaty za własny dowóz dokonywany transportem producentów. Oczywiście jest to rozwiązanie cząstkowe, bo zadaniem rolników jest w pierwszym rzędzie produkować...

Znamienne są doświadczenia z tegorocznej wiosennej kampanii sadzenia ziemniaków. Na łączną wielkość umów kontraktacyjnych dla przemysłu ziemniaczanego trzeba było zagwarantować 95 tys. ton sadzeń. Tradycyjnie ponad połowę dostarczyli oddziały Centrali Nasienniej w ramach planowej odnowy. Brakujące wielkości dostarczał przemysł ziemniaczany z własnych plantacji reprodukcyjnych, pozostałe ilości pochodziły z wymiany sąsiedzkiej i samozaopatrzenia rolników.

Ogromne masy sadzeńkiów dostarczane z północy jesienią i wiosną zginiły w kopcach i trzeba było je kierować do gorzeli. Jest nieporozumieniem lokalizowanie reprodukcji odmian w klasie A w woj. koszalińskim i słupskim, a następnie kierowanie tych sadzeńkiów na obsadzenie plantacji ot, chociażby w woj. wrocławskim, leszczyńskim czy zielono-

górskim. Rozumiem, że z uwagi na walory klimatyczne należy tak czynić w odniesieniu do super elit i elit. Na masowe odnowienie z powodzeniem mogą produkować owe województwa we własnym zakresie w zamkniętych rejonach uprawy. Odciały to nie tylko transport jesienią i wiosną, ale będzie miało też wpływ na tak konieczne przestrzeganie terminów agrotechnicznych w uprawie. Przecież w województwach północnych dopiero takie śnieg, gdy w południowych sadzi się ziemniaki.

Wskutek niepełnego obsadzenia kwalifikowanym materiałem plantacji już mnożą się sygnały w obrębie poszczególnych zakładów o gorszym stanie upraw. A i tak uzyskiwane plony z hektara ziemniaków są niskie w porównaniu do światowej czołówki.

NOWE ZAKŁADY

Krajowy program intensyfikowania uprawy i przetwórstwa ziemniaków obliguje w nadchodzącej 5-latkę ZPZ do dalszych nakładów na przetwórstwo w obrębie baz surowcowych. Ze wspomnianych 3,5 mld nakładów około 2 mld pochłonie budowa nowego kombinatu ziemniaczanego w Łochowie koło Węgrowa w woj. siedleckim, o zdolności przerobu 2 tys. ton na dobę. Większość urządzeń dostarczą krajowe zakłady SPOMASZ, kilka urządzeń trzeba będzie importować. Założenia techniczno-dokumentacyjne dla tego obiektu opracowuje obecnie „Cukro-Projekt” w Poznaniu.

Jak mi powiedział zastępca kierownika Centralnego Laboratorium Przemysłu Ziemniaczanego, mgr PIOTR POLITOWICZ, zakład w Łochowie będzie budowany z zachowaniem surowych wymogów ochrony środowiska. Jeśli w obecnych zakładach ziemniaczanych zużywa się średnio na 1 tonę przerobu ziemniaków 12—13 metrów sześć. wody, wskutek czego powstają duże ilości szkodliwych ścieków, to w Łochowie zakłada się zużycie około 3—5 metrów sześć. wody. Konieczność zbliżenia przetwórstwa do baz stawia na porządku dziennym potrzebę budowy kolejnego zakładu przetwórczego w regionie lubelskim. W tym przypadku będzie rozważona propozycja prof. dr KAZIMIERZA SZEBIOTKI z Akademii Rolniczej w Poznaniu budowy zakładu z pominięciem wody w przerobie ziemniaków.



PRZEDSIĘBIORSTWO TRANSPORTOWO-SPRZĘTOWE BUDOWNICTWA

transbud Warszawa

ODDZIAŁ ZAPLECZA TECHNICZNEGO
Warszawa, Al. Krakowska 61

odprzeda z nadwyżek

— części zamienne do samochodów: „Skoda” 706 RT i pochodne,

„Zil” 164, „Zil” 130 i pochodne,

„Star” 25, 27, 66 i pochodne

„Tatra” 111, 138 i pochodne

Informacji udziela Wydział Gospodarki Materialowej,
telefon 46-30-61 w. 182; w godz. 7—15.

K-23-0

POSTĘP TO RUCH

ERNEST SKALSKI

Po długich i pustoszących wojnach, po zarazach, które na wielkich obszarach pozabawiały życia połowę i więcej mieszkańców, człowiek do pracy, przedtem dostępną i lekceważoną, stawał się dobrem na wagę złota. Usiłowano go przetrzymać, ale to dobro, oprócz rąk, miało także nogi i głowę. W tych okresach nadawano nowe korzystne lokacje miastom i wsiom, przyznając osadnikom liczne prawa i przywileje. Tak było w Europie wschodniej po najazdach tatarskich w XIII wieku i w zachodniej po wielkiej dzumie w XIV.

Następujące potem akcje osadnicze i migracje owocowały znacznym postępem ekonomicznym i społecznym. Owcześni zapewne nie potrafili z tego wyciągnąć wniosków, ale z perspektywy historii dostrzegamy, że postęp związany był z ruchem ludności, choć z drugiej strony nie każda wędrówka ludów związana była z postępem. Ta sama reguła zdaje się obowiązywać i dzisiaj.

MIGRACJE KSZTAŁCA

W swym artykule „Polska wędrująca?” (ZG nr 39) Jacek Bóldok stwierdza, że „nie sposób znaleźć jakiegokolwiek klucza do praw rządzących wędrówkami Polaków...”. Zdanie to brzmi przekonująco w zestawieniu z materiałem, który autor przytacza, ale może istnieje jakieś prawo, które można ustalić na materiale szerszym.

Zjawisko migracji ma charakter ogólnowiatowy i nie wykluczone, że jeden kraj jest zbyt małym wycinkiem, aby na nim wykryć prawa rządzące całym procesem. Prawa, zresztą, to powiedziane zbyt wiele. Materiał statystyczny jest zbyt wycinkowy, skąpy i przypadkowy, aby można się nim precyzyjnie posłużyć. W dodatku dane dotyczące ludności często są trudno porównywalne z informacjami o przebiegu różnorodnych procesów ekonomicznych i społecznych. Pozwalają wszelako na wysnuć pewnych dosyć ogólnych spostrzeżeń.

Z tego, co przytoczył J. Bóldok wynika, że ruchliwi są od nas znacznie Duhczycy, Austriacy, Holendrzy, Niemcy z RFN i Finlandia, a więc mieszkańcy krajów bogatszych i bardziej rozwiniętych, bez względu na ich obszar i zaludnienie, bo są w tej grupie kraje o różnej wielkości i gęstości zaludnienia. W ZSRR, gdzie ruchliwość ludności też jest spora, większość z naszej; na rzecz zwiększonej migracji działają ogromne przestrzenie największego terytorialnie kraju świata. Z kolei w USA, gdzie ruchliwość bije wszelkie rekordy, istnieją zarówno wielkie przestrzenie, jak i najbardziej rozwinięta gospodarka świata, plus dwuwielkowiec tradycja wędrówek i „ruchomej granicy”.

Już z tych fragmentarycznych danych wynika, że na rzecz współczesnej pokojowej migracji mogą działać różne czynniki geograficzne czy historyczne, lecz że zawsze musi występować duży stopień zaawansowania cywilizacyjnego.

A teraz spojrzmy nie na migrację w ogóle, lecz na przepływ ludności ze wsi do miasta (lub odwrotnie), który to ruch zawsze był związany z postępem cywilizacyjnym. Dane te jednak nabierają należytej wymowy dopiero, jeśli ludność miejską porównamy z ludnością utrzymującą się głównie ze źródeł pozarolniczych.

Wśród krajów, dla których udało się zestawić te dane, jedynie Grecja posiada jednakowy odsetek ludności w obu tych grupach, wszędzie więcej ludności utrzymuje się ze źródeł pozarolniczych niż mieszka w miastach. Są jednak pozarolnicze zajęcia, które się wykonuje poza miastami i są też ludzie, którzy dojeżdżają do pracy do miasta. (Zob. tabela.)

Dosyć ciekawe są także dane, które mówią o zmianach w tym względzie za życia ostatniego pokolenia. W większości przypadków odsetek ludności, która żyje nie z rolnictwa i nie mieszka w miastach, zmniejszył się, ale same dane liczbowe i procenty mówią jeszcze niewiele, bez zestawienia z konkretnymi krajami i naszą wiedzą o nich. Zaczniemy może od krajów, które się nie mieszczą w dostępnych nam danych, jako że z reguły nie mają prawie lub zgola żadnej statystyki.

W wielu, szczególnie nowo powstałych krajach Trzeciego Świata trwa masowy napływ ludności do miast. We wsiach nie ma tam prawie zupełnie ludzi, którzy by nie żyli (razem z roślinami) z rolnictwa, bo i z czego innego? Natomiast w miastach istnieją i rosną ogromne rzesze lumpenproletariatu, utrzymujące się z trudno uchwytnych źródeł. Ta grupa krajów, aczkolwiek bardzo liczna, znajduje się poza regułami, które rządzą w społeczeństwach bardziej zaawansowanych, i dlatego gdyby się nawet uzyskało z nich dane o migracji do rozlicznych bidonvilles czy favelas, nie powinny one stanowić argumentu w toczoną dyskusję.

Na przeciwnym biegunie znajduje się Stany Zjednoczone, gdzie w ostatnim dwudziestolecu odsetek ludności niemiejskiej nawet wzrósł. Termin „niemiejska” jest bardzo nie miarodajny, gdyż trudno tu mówić o ludności wiejskiej. Nie chodzi bowiem ani o farmerów, których liczba nadal maleje, ani tym bardziej o coś w rodzaju naszych chłopów-robotników, których tam nie ma. Po prostu wzrasta liczba mieszkańców suburbi, ale ich mieszkanie „na wsi” i dojazd do miasta znajdują się już na innym poziomie cywilizacyjnym.

Podobnie należy chyba interpretować dane z Kanady, gdzie odsetek omawianej przez nas ludności zmniejszył się zaledwie o jeden procent. Trwa tam ruch w obie strony i migracja uciekających do suburbi jest jeszcze nie przeważająca. Jeśli chodzi o Jugosławię, gdzie grupa ta wzrosła jeszcze bardziej niż w USA, trudno się wypowiedzieć, lecz przyczyną tego stanu bardziej chyba muszą być zbliżone do polskich niż do amerykańskich.

Polska zaś przez cały czas ma te same 16 procent ludności wiejskiej utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych. Gdyby tylko na tej podstawie porównywać nas z wielkością krajów tabeli, gdzie zmniejszanie się tego odsetka idzie w parze z postępem gospodarczym, można by mówić o jakimś zastoju w naszym kraju. Tymczasem o zastoju nie ma mowy. W tym historycznym już, jeśli chodzi o skalę, okresie mamy do odnotowania poważny postęp cywilizacyjny. Jeśli jednak chodzi o migrację i rozmieszczenie ludności, to nie znajdują one jednoznacznego odbicia. Bo z jednej strony liczba ludności miejskiej konsekwentnie rośnie, ale urbanizacja ciągle nie może dogonić industrializacji — mówiąc w uproszczeniu i ten dystans w skali pokolenia nie zmniejsza się.

Liczne obserwacje dowodzą, że wszelka migracja posiada, acz w niejednakowym stopniu, społecznie dodatnie cechy.

Oczywista jest rzecz, że wszystkie pozytywne strony migracji potęgują się wielokrotnie, kiedy ludzie nie uciekają przed niedzą, lecz na zasadzie swobodnego wyboru udają się do nowej, czekającej ich pracy, ciekawszej, lepszej, dającej nowe możliwości. O takiej migracji możemy mówić w krajach rozwiniętych. Na taką migrację wielkie szanse ma również Polska, jednakże nie wykorzystuje ich w pełni.

GORSET MIESZKANIOWY

Deklaracje badanych odnośnie do motywów zmiany miejsca zamieszkania gmatwiają sprawę — stwierdza Jacek Bóldok. Zapewne, bo bezpośredni impuls do decyzji przesiedlenia się nie pokrywa się z regułą z głębszymi przyczynami tkwiącymi w istotnych procesach ekonomiczno-społecznych, do których zainteresowani nie dopasowują świadomie swej osobistej sytuacji. Wszelako coś przeciwko mówi informacja, że na pierwszym miejscu ludzie stawiają okoliczności rodzinne, a więc te, na które polityka gospodarcza i społeczna państwa nie ma właściwie wpływu, a dopiero na drugim miejscu — mniej niż 30 procent badanych — plasują się prace czy własna działalność gospodarcza podejmowana na nowym miejscu. Pokrywa się to z informacją Bóldoka, że najrzadziej występuje motyw pracy przy osiedlaniu się w najbardziej uprzemysłowionych rejonach kraju.

Powstaje więc dziwna sytuacja. Planowa polityka inwestycyjna wpływa w decydujący sposób na kształt produkcyjnego zagospodarowania kraju, jeśli chodzi o bazę produkcyjną, natomiast nie jest w stanie wpływać w decydujący sposób na procesy migracyjne, które w niedostatecznym stopniu idą śladem — choć powinny — przekształceń w bazie produkcyjnej. Wynika to chyba ze struktury inwestowania.

W naszych warunkach środki inwestycyjne wydzielane są najczęściej z jednej scentralizowanej puli. Stosunek więc bazy produkcyjnej i infrastruktury jest w coraz większym stopniu wynikiem polityki inwestycyjnej minionego trzydziestolecia i w mniejszym — historycznej spuścizny. A polityka ta zdecydowanie preferowała cele produkcyjne, co musiało pociągać za sobą określone koszty, między innymi w postaci względnego opóźnienia procesów osiedleńczych. Na pewnym etapie było to zapewne celowe i uzasadnione, ale ten etap już przemija i dostrzegamy to coraz wyraźniej.

Spojrzenie od strony rozmieszczenia ludności jest niezwykle istotne, gdyż to jest klucz do likwidacji historycznych dysproporcji w rozwoju poszczególnych rejonów kraju i różnicy szans życiowych jednostek w zależności od miejsca urodzenia. Dręczący nas od pokoleń kompleks Polski B zamierzano w pewnym okresie usunąć inwestując równomiernie — głównie w przemyśle — we wszystkich rejonach kraju. Dziś widzimy, że była to koncepcja nieefektywna gospodarczo i zgubna, jeśli chodzi o kształtowanie środowiska, choć jeszcze niektóre ogniwa administracyjne starają się i dziś ją realizować. Brakła się ona wówczas z

pewnej określonej sytuacji; stosunkowo hojnie dawano na inwestycje produkcyjne, a słabo na wszystkie inne. Stąd wydawało się, że prościej jest dobudować jakąkolwiek fabrykę do zaniedbanego miasteczka niż nowoczesne osiedle do przemysłu z prawdziwego zdarzenia.

W świadomości przeciętnego Polaka odbiło się to w ten sposób, że wie on, iż wszędzie, lub prawie wszędzie można dostać pracę, a nawet przebiegać w ofertach, natomiast trudno uzyskać mieszkanie. Wiadomo w związku z tym, o co trzeba zabiegać i czego pilnować — nie roboty, lecz swoich metrów kwadratowych lub chociażby paroletniej zaszłości w kolejce na mieszkanie spółdzielcze. Ta zaś sytuacja pomnożona przez miliony rodzin daje w rezultacie stan małej ruchliwości, którą się właśnie zajmujemy. Są oczywiście i inne przyczyny, lecz ta jest na pewno dominująca.

Jacek Bóldok ubolewa — nie on pierwszy zresztą — że w warunkach, gdy tak trudno uzyskać i zmienić mieszkanie, utrudnia się dodatkowo ten ruch wszelkimi restrykcjami: ograniczenia meldunkowe, które ciągle się znosi i które ciągle istnieją, oraz niesamowite bariery biurokratyczne przy wymianie. Na pozór wygląda to na głupią złościwość, ale rozsądek każe szukać jakiegoś bardziej prawdopodobnego wytłumaczenia. Wydaje się, że jest to naturalna reakcja, która w warunkach ostrego niedoboru czegośkolwiek każe wprowadzać ostrą reglamentację tego dobra, ograniczać jego obrót, słowem — nastawia się maksymalnie na dystrybucję i ochronę przed nadużyciami.

A tymczasem ruch ludności w nowoczesnym społeczeństwie wymaga przede wszystkim luzu mieszkaniowego i psychicznego. Inaczej niż zabawa w komórki do wynajęcia — przynajmniej jedna komórka stale musi być wolna, co w naszych warunkach oznaczałoby tolerowanie pustostanów. Dziś jeszcze nie możemy sobie na to pozwolić, co znaczy, że nie stać nas po prostu na celowy przepływ ludności w pożądanym rozmiarach.

Oznacza to też, że nie możemy jeszcze w pełni kierować likwidacją dysproporcji między rejonami kraju. We wszystkich krajach istnieją rejon o różnym stopniu rozwoju i różnym poziomie aktywności gospodarczej. Nie znaczy to jednak, że podział ten musi być (choć jeszcze na ogół bywa) związany z podziałem na obszary biedne i bogate. Te właśnie różnice likwiduje migracja. Ludzie przechodzą do rejonów aktywnych, gdzie jest dla nich praca, dająca dobre warunki życiowe, natomiast na starym miejscu zostaje tyle tylko ludzi, ilu trzeba, aby przy wydajniejszej niż dotąd pracy zapewnić sobie lepsze niż dotąd warunki. Jest to sytuacja modelowa — bo w rzeczywistości bywa bardziej skomplikowana — ale można tę prawidłowość prześledzić, choćby w tradycyjnie biednych górskich rejonach krajów europejskich, skąd ludność odpływa, a gdzie dopiero ci co zostają, aktywizują teren i zapewniają sobie należyty poziom życia. To samo — nie tylko na górskich terenach — dzieje się w Polsce, lecz w stopniu daleko mniejszym od pożądanego i możliwego, jeśli patrzeć od strony zainwestowania w produkcję. Ciągłe jeszcze w jednym rejonach ludzie żyją w kiepskich warunkach, w niedostatecznie rozwiniętej infrastrukturze i ze stosunkowo niewielkich dochodów, a w innych — nowoczesnych i dobrze płatnych — przemysł boryka się z brakiem ludzi na skutek... równie niedorozwiniętej — względnie! — infrastruktury.

Sytuację, jak na razie, ratują chłop-robotnicy. Od lat trwają spory, czy są oni lepszymi czy gorszymi robotnikami oraz czy są lepszymi czy gorszymi rolnikami od innych. Za-



Fot. M. STANKIEWICZ

równy od strony pracy w mieście jak i działalności na wsi można przytoczyć argumenty w jedną i drugą stronę. Jedno jest pewne. Suma ich wysiłku, tu i tam, plus dojazd, jest bez porównania większa od wysiłku przeciętnie pracującego. Można ko- rzystania z życia (nie chodzi o pieniądze, bo nie tego im najbardziej brakuje) mają zaś mniejszą. Ci ludzie placą bezpośredni i największy rachunek za względny niedorozwój urbanizacji, ale płaci go też całe społeczeństwo, choćby dlatego, że nie wydaje się, aby był to najbardziej racjonalny sposób wykorzystywania zasobów pracy, jakimi dysponujemy. W dodatku należy przypuszczać, że

pokolenie, które dziś wkracza w życie produkcyjne, nie powtórzy już tego modelu życia. Zniknąć więc będzie grupa, która pozwalała nam na pewną zwłokę w rozbudowie infrastruktury, dając tym samym możliwość szybkiego rozwoju bazy produkcyjnej. Nie należy też chyba mieć złudzeń, że nasze wsie od razu zamienią się w suburbia. Nie obejdzie się bez migracji, a więc i bez budowy mieszkań oraz całego zaplecza komunalnego i usługowego.

Z której by więc strony podchodzić do naszej obecnej sytuacji, wszędzie natykamy się na problem mieszkaniowy, nie bez podstaw uznawany poważnie za najważniejszy.

A — odsetek ludności utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych
B — odsetek ludności miejskiej
C — odsetek ludności nie mieszkającej w miastach i utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych

K r a j	Lata pięćdziesiąte			Lata siedemdziesiąte			Różnica procentowa między C i B w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych
	A	B	C	A	B	C	
Polska	53	37	16	70	54	16	0
Argentyna	80	62	18	85	72	13	-5
Australia	88	69	19	92	86	6	-13
Belgia	87	63	24	95	87	8	-16
Bulgaria	45	27	15	64	37	7	-11
Czechosłowacja	75	51	24	84	64	10	-14
Francja	78	56	22	86	70	16	-6
Grecja	48	37	11	53	33	0	-11
Irlandia	86	55	31	93	77	16	-15
Indie	31	17	14	32	20	12	-2
Japonia	56	37	19	79	72	7	-12
Jugosławia	27	16	11	53	39	14	+3
Kanada	80	68	17	92	76	16	-1
USA	85	64	21	96	73	23	+2
Szwecja	76	47	29	91	81	10	-19
ZSRR	50	40	10	68	60	8	-2



Fot. S. ZUBCZEWSKI

DROGA DO DOMU...

JANUSZ ZBIERAJEWSKI

...a ściślej rzecz biorąc — droga do uzyskania domu, nie jest, jak wiadomo, łatwa. Mimo konsekwentnej realizacji programu intensywnego rozwoju budownictwa mieszkaniowego, nakreślonego przed kilkoma laty, deficyt mieszkań jest nadal odczuwalny. Każda więc próba zwiększenia liczby mieszkań jest cenna, a każda próba udana — godna upamiętnienia.

Dyrekcja Dolnośląskiego Okręgu Kolei Państwowych nie wyróżnia się — jeśli chodzi o potrzeby mieszkaniowe — niczym szczególnym. Plany budownictwa na przyszłą pięcioletkę przewidują uzyskanie 2573 mieszkań. Potrzeba zaś 5825. Nie trudno zatem obliczyć, że do roku 1980 tylko 44 proc. kolejarzy na Dolnym Śląsku, starających się o mieszkania, otrzyma je.

Szczególnie trudna jest sytuacja kolejarzy w węzle legnickim. Legnica wprawdzie jest miastem, w którym buduje się dużo mieszkań, ale przede wszystkim mają one zaspokoić potrzeby górnictwa i przemysłu razińskiego. Dla kolejarzy zostaje niewiele.

ZACZEŁO SIĘ OD ROZMOWY

Na początku 1972 r. do sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, KONSTANTEGO ŚWIEŻEWSKIEGO, przyszło kilku kolejarzy. Poinformowali go o trudnej sytuacji mieszkaniowej, którą nie pozwolą wypocząć po odbyciu podróży na drugi kraniec Polski i z powrotem, a na koniec zwierzyli się z pomysłu:

— Mieszkamy podłe. Na zdobycie mieszkania normalną, to znaczy spółdzielczą drogą, w ciągu najbliższych paru lat nie ma co liczyć. Mamy trochę grosza odłożonego w PKO. Gdyby tak wykombinować od miasta działkę, gdyby kolej mogła w zwiezieniu materiału, gdyby bank dał pożyczkę, gdyby kolej odpłaciła tanio trochę szyn i wypoczęła jakąś betoniarke i transporter, to można by się pokusić o wybudowanie własnego domku.

— O tej rozmowie nie wiedzia-

łem — mówi ZYGMUNT WOJTYŁKO — ale wpadł do mnie ktoś, regoś dnia sekretarz, dokładnie mi ją zrelacjonował i pyta, co ja na to. Powiedziałem wtedy, że myśl nie jest głupia, tylko jak na mój gust trochę tu za dużo trybu warunkowego. Gdyby miasto, gdyby bank, gdyby kolej, gdyby to, gdyby tamto. A na to sekretarz: „Chłopak jesteś energiczny, obrotny, zajmij się zbadaniem możliwości. Kto wie, może kiedyś w sprawach domków z trybu warunkowego przejdziemy na czas przeszły dokonany.”

Wojtyłko dał się namówić. Żeby wiedzieć, jak działać, trzeba było zdobyć rozeznanie co do skali przedsięwzięcia. Ogłoszono więc werbunek pod hasłem „kto chce sobie wybudować domek jednorodzinny?”. Ba, kto by nie chciał? W pierwszym rzucie zgłosiło się ponad 100 osób. Kiedy jednak na zebraniu informacyjnym okazało się, że cała impreza jest jeszcze patetykiem na wodzie pisana, większość zrezygnowała. Zostało czterdziestu, których nie przeraziły trudności. Każdy wpłacił 500 złotych wpisowego i 10 tysięcy na... nie bardzo było wiadomo na co, ale jakieś pieniądze przecież trzeba mieć, żeby w rozmowach „wyżej” nie wyjść na grupkę golców, która nie mając złamanego grosza chce dostać domki.

Trzeba było się jakoś nazwać. Przyjęto nazwę „Zespół Budowy Domków Jednorodzinnych przy Węzle PKP w Legnicy”. Wybrano kilkuosobowy zarząd, a szefem został ZYGMUNT WOJTYŁKO. Działanie to 26 lutego 1972 r. i dzień ten został zapamiętany skrupulatnie w dziejach miasta Legnica odnotowany.

Zarząd zaczął pracę od mało odkrywczego stwierdzenia, że nie ma zielonego polcia, jak się do sprawy zabrać, ale, jak wiadomo, nie święci garnki lepią. Zaczęto więc od studiowania Dzienników Ustaw, Monitorów i Dzienników Urzędowych, żeby się dowiedzieć, jakie prawa ma (i jakich nie ma) obywatel PRL, który chce sobie wybudować dach nad głową. Kiedy już było wiadomo z grubszą co i

jak, zaczęto myśleć nad tym, na jakie tych praw rozszerzenie można liczyć, jeśli się natrafi na życzliwość różnych urzędów i instytucji. Zarząd sformułował na piśmie, czego są w stanie dokonać członkowie zespołu i jakie pomocy potrzebują i — po uzyskaniu „błogosławieństwa” DOKP — wysłał delegację do Wydziału Ekonomicznego KC i Ministerstwa Komunikacji. Propozycje przedstawione przez zarząd uznano za realne i zaakceptowano je. Delegacja wróciła z Warszawy z tarczą.

Ogólna akceptacja to dużo, ale to jeszcze nie wszystko. Wiadomo wszak, że jeden urzędnik na dole może stordedować nawet najlepsze decyzje. Na szczęście, zarząd zespołu i w Legnicy i we Wrocławiu natrafił na ludzi, którzy rozumieli i chcieli.

Rozmowa z ówczesnym przewodniczącym Prezydium MRN w Legnicy, a dzisiejszym prezydentem miasta, JANEM BINKIEM, była krótka i rzeczowa. Przewodniczący BINEK (nasze wnuki będą żyć, wie go wspominać — mówi Z. WOJTYŁKO) wystuchał propozycji zespołu i obiecał, że przydzieli działki budowlane. Obiecał też, że miasto pokryje koszty przyłączenia osiedla do sieci kanalizacyjnej i elektrycznej, pod warunkiem, że organizacja tego przyłączenia zajmą się członkowie zespołu.

Równie rzeczowa była rozmowa z DOKP. Zastępca dyrektora do spraw administracyjnych, EUGENIUSZ PRUSSAK i główny księgowy STANISŁAW BŁAŻNIAK również ocenili propozycje zespołu jako realne i obiecali daleko idącą pomoc.

POTEM BYŁA BUDOWA

Żeby było taniej, wybrano dokumentację domku typowego. Ale że trudno znaleźć 40 Polaków o identycznym guście, wrócić się okazało, że każdy chciałby coś w tej dokumentacji zmodyfikować. I znów zespół trafił na życzliwą duszę w postaci inżyniera ROGOZIŃSKIEGO, miejskiego architekta, który cierpliwie wysłuchał, jakich zmian



Fot. S. ARCZYŃSKI

sobie ten i ów życzy i pomógł zmodyfikować typowy projekt według indywidualnych upodobań.

Każdy członek zespołu wpłacił, jako się rzekło, 10 tys. złotych. DOKP udzieliła pożyczki w wysokości 15 proc. wartości kosztorysowej (400 000 zł), czyli 60 tys. zł. PKO dała pożyczkę 110 tys. zł. Część uzyskanej w ten sposób sumy członkowie zespołu oddali do wspólnej puli (na subkonto otworzone na potrzeby zespołu przez DOKP), a resztę zatrzymali. Ze wspólnej puli miały być załatwione materiały do stanu surowego włącznie. Pozostała część pieniędzy została przeznaczona na indywidualne wykończenie domków.

Jeśli dodamy uzyskane przez członków zespołu sumy pożyczek z DOKP i PKO okaże się, że wkład własny musi wynieść 230 tys. złotych gotówką, bo tyle brakuje do sumy kosztorysowej. Otóż nie. Pomoc rzeczowa DOKP i własna robocizna sprawiły, że faktyczny koszt domku w stanie surowym nie przekroczył 120 tys. zł, a wykończenie — w zależności od standardu — od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu tysięcy złotych. W sumie — najtańszy domek kosztuje 160, najdroższy 240 tys. zł.

Z DOKP zespół uzyskał (oprócz wspomnianej pożyczki) pomoc w postaci bezpłatnego transportu kolejowego. Transport samochodami — po cenie kosztów własnych. Zużyte szyny — po cenie złomu. Bezpłatny nadzór budowlany. Bezpłatnie stare pudła wagonów, które przeznaczono na tymczasowe ma-

gazyny na placu budowy. Nieodpłatnie pożyczono również kilka betoniariek i taśmociągów.

Kiedy zespół przystępował do intensywnych prac, byli w Legnicy ludzie, nawet i wśród kolejarzy, którzy na widok członków zespołu pukali się znacząco w czoło. Kiedy jednak na placu budowy pojawiły się fundamenty, a obok zaczęły się powiększać sterty cegieł i pustaków, 41 następnych kolejarzy założyło drugi zespół. Po paru miesiącach powstał trzeci, do którego wstąpiło 18 członków.

Interesujący jest skład socjalny kolejarzy budujących domki. Wśród 40 członków pierwszego zespołu, szesnastu — to drużyny lokomotywowe (maszyniści i pomocnicy), 6 — to pracownicy warsztatów lokomotywnych. Dalej — 2 konduktorów, 4 pracowników służby drogowej, 1 rencista, 1 emeryt, 1 nauczyciel zasadniczej szkoły kolejowej oraz 9 pracowników administracji (w tym 3 rewidentów wagonów). Najmłodszy członek zespołu ma 24 lata, najstarszy — ponad 60. Kierownik pierwszego zespołu, ZYGMUNT WOJTYŁKO jest pracownikiem administracyjnym, kierownikiem drugiego — RYSZARD SĄDZAK — jest dyspozytorem przewozów, zaś kierownik trzeciego zespołu — ANTONI STAWICKI — pracuje jako majster w lokomotywni.

Stan „na dziś”, a ściślej biorąc, na 15 września, jest następujący:

Zespół I: 18 domków zasiedlonych, 22 — na wykończeniu. Zespół II: 34 domki — gotowy

stan surowy, 1 — stan surowy partu, 6 — fundamenty i piwnice. Zespół III: 12 domków ma wzniesione mury partu, 6 — fundamenty i piwnice.

Wiesz o budowie domków przez kolejarzy legnickich rozszedła się błyskawicznie po całej DOKP. Z początku powtarzano ją z niedowierzaniem i brakiem większego entuzjazmu, ale kiedy okazało się, że fundamenty są gotowe, a i mury szybko rosną, do Legnicy zaczęły ścigać wycieczki kolejarzy z innych węzłów. W rezultacie, na wzór i podobieństwo legnickich, powstały podobne zespoły w Oleśnicy i Wałbrzychu. Zespół oleśnicki buduje 16 domków, z których 1 już jest zasiedlony, a do 2 następnych właściciele wprowadzą się w najbliższych dniach. W Wałbrzychu powstaje 6 domków jednorodzinnych i jeden bliźniak. Opinii i rad zasięgali w Legnicy kolejarze z Kamieńca, Węglinca, Miłkowie i kilku innych miejscowości.

Zanim pojechałem do Legnicy, wyobrażałem sobie (znając efektywną cenę domków), że zastanę tam domki-malenstwa. Ot, takie sobie M-3 czy M-4, tyle, że nie w bloku, a wolno stojące. Nic podobnego. Z nazwy „domek jednorodzinny” prawdziwa jest tylko druga część. Żadne domki. Są to jedno- i dwupiętrowe wille.

Po osiedlu oprowadzali mnie szefowie zespołów. Na ich pytanie, jak mi się to podoba, powiedziałem, że ministrowie w Warszawie nie mają takich mieszkań. „Mogą mieć — skomentował Z. WOJTYŁKO — niech założą zespół”.

Przedstawiamy nową mini-kopiarke, aparat Xerox 3100

Xerox 3100

Jak każda dobra kopiarka, nowy Xerox 3100 wykonuje najtrudniejsze zadania.

Np. autotypia, jasnoniebieskie pismo, oryginały w oprawionych tomach.

Ale w przeciwieństwie do wielkich kopiarek, Xerox 3100 pracuje z dowolnego gniazdko 13 A w każdym bluzie.

A jego wydajność? Xerox przekracza wydajność wszystkich innych kopiarek tej samej wielkości (dwadzieścia druków na minutę).

Ponadto jest łatwy w obsłudze. Każdy pracownik dowolnego szczebla obsługi Xeroxa może opanować w ciągu kilku sekund bez trudności.

Oczywiście zawsze występować będą długie serie, wymagające usług dużej kopirni.

Ale dla większości prac wszystko, czego teraz potrzeba, to podłączenie nowej mini-kopirni i to w dowolnym miejscu.

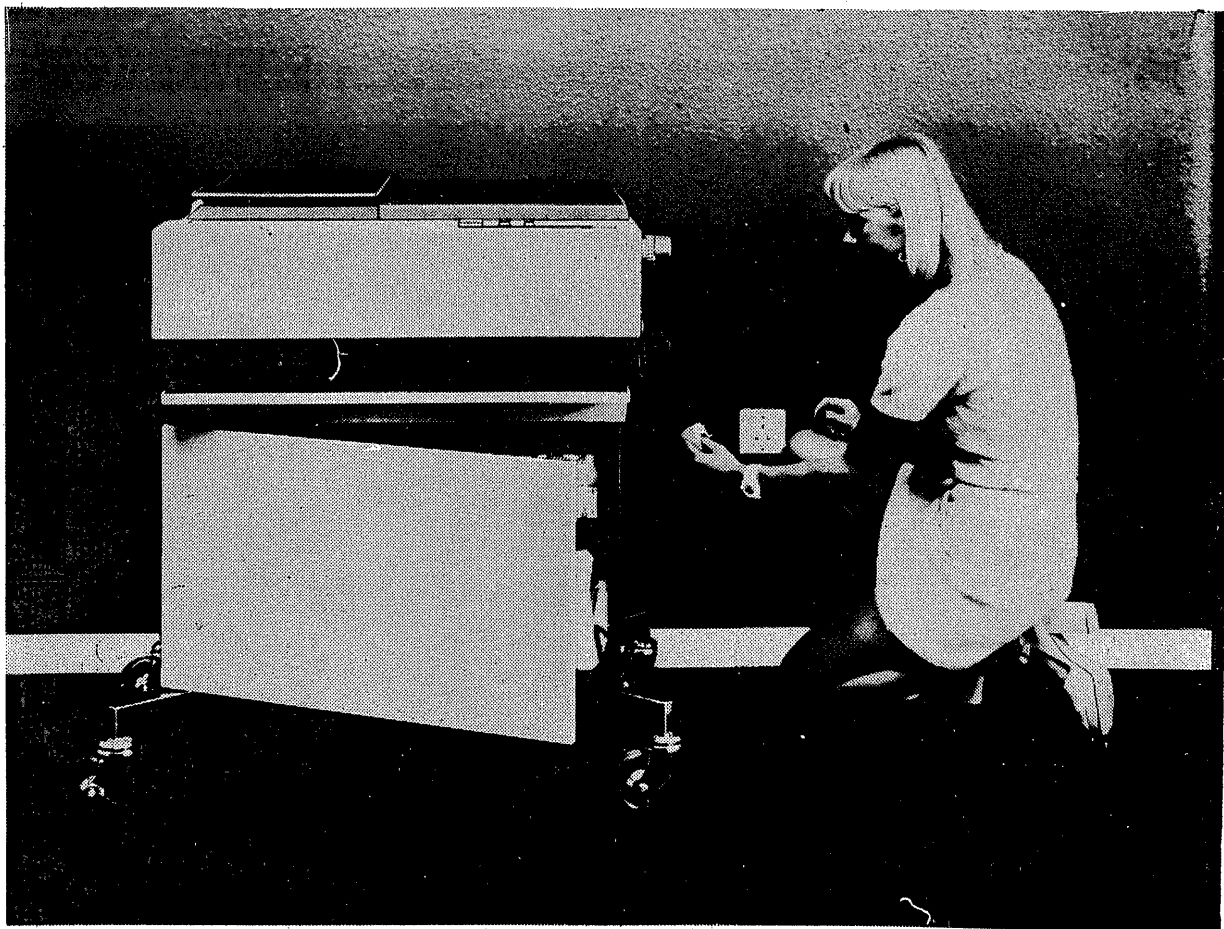
XEROX 3100

Szczegółowych informacji udziela firma

Maciej Czarnecki i S-ka, SA ul. Marszałkowska 17

WARSZAWA telefon: 28-02-60; Dalekopis: 813278

RANK XEROX



Rank Xerox i Xerox są zarejestrowanymi znakami towarowymi firmy RANK XEROX LIMITED

PRZEMYSŁ DROBNY W POLITYCE ROZWOJU REGIONALNEGO

STANISŁAW SKOWROŃSKI

NIE SPOŚÓB dziś wyobrazić sobie szybkiego rozwoju przemysłu bez udziału zakładów drobnym. Głoszona w przeszłości teza, że dynamiczny rozwój drobnej wytwórczości jest niemożliwy w warunkach procesu koncentracji produkcji — okazała się całkiem bezpodstawną. Tak więc przypomnienie, iż przemysł drobny stanowi obecnie znaczny potencjał wytwórczy, wyrażający się ponad 8-procentowym udziałem w produkcji globalnej (w tym prawie 17-procentowym udziałem w produkcji przedmiotów spożywczych) i ponad 13-procentowym udziałem w zatrudnieniu w całym przemyśle społecznym, jest nie tyle argumentem w dyskusji nad znaczeniem małych zakładów, co zwykłą wizytówką tej dziedziny działalności gospodarczej.

NAŚLADOWANIE WIELKICH

Znaczny wzrost udziału drobnej wytwórczości w realizacji zadań społeczno-gospodarczego rozwoju kraju i poszczególnych regionów stwarza konieczność podjęcia i rozwiązania wielu kwestii. Chodzi przede wszystkim o zakresienie strefy działania przemysłu drobnego, wyboru typu organizacji dla małego zakładu i zasad jego funkcjonowania.

Wbrew pozorom, miejsce i zasięg działania drobnej wytwórczości w przemyśle nie zostały dotąd dokładnie sprecyzowane, nie ma również ściśle określonych kryteriów podziału zadań produkcyjnych między przemysł wielki i drobny. W konsekwencji obserwuje się dublowanie działalności produkcyjnej w jednym i drugim przemyśle, nie przynoszące na ogół zwiększenia asortymentu wytwarzanych wyrobów, a nierzadko — spiętrzające zapasy magazynowe.

Co ciekawe, zjawisko to występuje ze szczególnym nasileniem w tych dziedzinach wytwórczości, w których na określonych terenach istnieją tzw. tradycje przemysłowe. Tak na przykład w regionie łódzkim, w przemysłach odzieżowym i dziewiarskim spotkać można wiele przedsiębiorstw różnej wielkości, produkujących bardzo podobne lub wręcz identyczne wyroby — nawet atrakcyjne wzorniczo i dobre jakościowo, lecz mało zróżnicowane i wypuszczane na rynek zbyt masowo. Licznie reprezentowane tutaj spółdzielnie pracy i zakłady terenowe wprost naśladują nierzadko przedsiębiorstwa kluczowe.

Skutki tych tendencji sprawiają więcej kłopotu zakładom dużym niż drobnym. Sytuacja opisana wyżej jest dla małych nawet dość wygodna. Uczestnicząc w prowadzonych przez „klucz” porozumieniach branżowych, drobne zakłady mogą łatwiej otrzymywać gotowe wzory, szablon, technologie, po drugie zaś — mają wszelkie szanse wyprzedzić duże zakłady w uruchomieniu nowej produkcji i przekazaniu jej na rynek. Przeprowadzone badania i obserwacje potwierdzają bowiem tezę, że

operatywnie działający zakład drobny ma większe szanse zdobycia klienta, zwłaszcza klienta kapryśnego niż zakład duży. Inna rzecz, że szanse te nie zawsze są wykorzystywane. Pod koniec lat 60-tych dało się np. zauważyć dość wyraźne zmniejszenie zamówień na spółdzielcze wyroby, co było konsekwencją wzrostu wymagań odbiorców co do jakości, nowoczesności i częstotliwości dostaw towarów. Spółdzielnie pracy uciekły się wtedy do pomocy eksportu. Zaczęto przyjmować niemal każde zamówienie odbiorcy zagranicznego, mimo iż wiele transakcji było nieopłacalnych w rachunku dewizowym.

Jakie przyczyny leżą u źródła tych niepożądanych zjawisk? Istotne znaczenie ma sposób planowania działalności produkcyjnej przemysłu drobnego. Zakłady drobne — państwowe i spółdzielcze — opracowują plany według zasad stosowanych w przedsiębiorstwach kluczowych, choć wiadomo, że w drobnej wytwórczości planowanie powinno być bardziej giętkie, a zarazem zapewnić, o powiązaniu z systemem bodźców, prawidłową realizację zadań wynikających z programu rozwoju regionu.

Na podstawie badań przeprowadzonych w regionie łódzkim podważyć zaś trzeba dość rozpowszechnione twierdzenie, jakoby podstawowym czynnikiem rozwoju przemysłu drobnego było wykonywanie przezeń zadań lokalnych. W praktyce bynajmniej nie ma to decydującego znaczenia. Zakwestionować również trzeba tezę o szerokim wykorzystaniu przez zakłady małe surowców lokalnych, tudzież o zajmowaniu się przez nie produkcją przeznaczoną prawie wyłącznie na zaopatrzenie miejscowych rynków.

A zatem trudno już dzisiaj mówić, że przemysł kluczowy znajduje się w układzie scentralizowanym, natomiast przemysł drobny w zdecentralizowanym. Tym niemniej pogląd — iż w układzie zdecentralizowanym, czyli regionalnym, należałoby ograniczyć się do planowania wartościowego, a w układzie scentralizowanym oprócz się na planach asortymentowych — jest w dalszym ciągu słuszny, z tym tylko, że obecnie układy te wzajemnie się przenikają i nie można utożsamiać ich bądź z przemysłem wielkim, bądź drobnym.

Sztynność planowania, występująca do niedawna w drobnej wytwórczości, uniemożliwiała dostosowanie produkcji i usług do posiadanych środków. Właśnie wskutek tego małe zakłady nawiązywały się często do produkcji nie na asortymenty poszukiwane na rynku, a na wyroby, które mieściły się dokładnie w ustalonych prorocznym rentowności i funduszu plac.

POTRZEBNY JEDEN GOSPODARZ

W ostatnich latach dokonano szeregu zmian na rzecz udoskonalenia planowania. Można sądzić, iż dzięki wprowadzeniu zasad nowego syste-

mu ekonomiczno-finansowego, efektywność przemysłu drobnego znacznie się poprawi, na co też wskazują pierwsze sygnały o wynikach gospodarowania branżowych związków spółdzielczości pracy i zjednoczeń przemysłu terenowego, funkcjonujących od początku tego roku w nowym systemie.

Z możliwości wydawnictwa urozmaicenia produkcji tak na rynek wewnętrzny, jak i na eksport zakłady drobne korzystają jednak nadal w nieznaczny stopniu. Powtarzanie, iż przyczyną tego szuwać należy w chronicznych niedoborach materiałowych, kiepskim wyposażeniu technicznym, skromnych rozmiarach działalności inwestycyjnej — jest pewnym uproszczeniem sprawy. W ankietie rozpisanej wśród działaczy spółdzielczości pracy regionu łódzkiego na pytanie: co najbardziej utrudnia pracę zakładów spółdzielczych w układzie regionalnym, odpowiedź często brzmiała: brak skutecznej koordynacji działalności wszystkich jednostek przemysłowych znajdujących się na danym terenie.

Okazuje się, że jednym z podstawowych czynników, kształtujących prawidłową politykę rozwoju przemysłu w regionie byłoby pogodzenie interesów resortów, zjednoczeń, związków spółdzielczych, organów administracji państwowej i interesem konsumenta. W wypowiedziach podkreślano, że w praktyce interes ten zajmuje wcale nieprzewidywalne miejsce w hierarchii celów polityki ekonomicznej w regionie. Mnogość instytucji nakazujących, zakazujących, ukierunkowujących poszczególne organizacje przemysłowe nie sprzyja przyjmowaniu jednolitych rozwiązań i decyzji w myśl zasady racjonalności gospodarczej. Podział zadań między przemysł wielki i drobny stanowi zaś dość przypadkowy wynik oddziaływania różnych czynników, a nie jest realizacją przemyślanej koncepcji rozwoju produkcji przemysłowej w obrębie regionu.

Brak takiej koncepcji tłumaczy się trudnościami w doborze kryteriów oceny, czy określona produkcja może być efektywniej wykonywana w dużym czy w małym zakładach. Rzecz komplikuje się dodatkowo, gdy np. ekonomiczny wybór drobnej produkcji nie odpowiada względem społecznym, jak choćby potrzebie aktywizacji zawodowej ludności. Niektóre znowu większe opłacalność umieszczania określonego asortymentu produkcji w dużym zakładzie koliduje z wielkością bazy surowcowej, lub też rozmiarami zapotrzebowania rynku.

Do kształtowania polityki rozwoju przemysłu w regionie powinien być upoważniony jeden organ, wyposażony w szerokie pełnomocnictwa, posiadający odpowiednio duży i szczegółowy zasób informacji, składający się z wysoko kwalifikowanych fachowców: planistów i organizatorów produkcji — teoretyków i praktyków — oraz mający wysoki autorytet wśród różnorodnych władz przemysłu. W nowym podziale

administracyjnym kraju rolę taką mógłby pełnić wyspecjalizowany aparat planistyczno-sztabowy obejmujący zasięgiem swego działania obszar makroregionu.¹⁾

Optymalny podział zadań między przemysł wielki i przemysł drobny powinien być rezultatem rachunku opłacalności rozmieszczenia produkcji. Rachunku tego należy dokonać na podstawie zbilansowania globalnego zapotrzebowania (popytu) na określone rodzaje wyrobów i usług z możliwościami produkcyjnymi (podażą) aparatu wytwórczego.

Wydaje się, iż strefa działalności wytwórczej przemysłu drobnego obejmować powinna w przeważającej mierze produkcję przedmiotów spożywczych przeznaczonych na rynek wewnętrzny oraz na eksport. Wynika to stąd, że właśnie zakłady małe mogą łatwiej niż przedsiębiorstwa wielkie podążać za zmieniającymi się wymaganiami odbiorców krajowych i zagranicznych i dostarczać wyrobów o dużej różnorodności, o odmiennych wzorach, wyrobów nawiązujących do dorobku artystycznego i tradycji regionów.

W ich produkcji kierowanej na rynek krajowy podstawowym asortymentem powinny być wyroby wytwarzane w krótkich seriach, bądź nawet pojedynczo. Szczególne znaczenie ma tu produkcja modnej konfekcji, artykułów gospodarstwa domowego, wyposażenia mieszkań, nietypowych mebli, akcesoriów samochodowych, opakowań itp. Produkcja ta powinna mieć w stosunku do produkcji przemysłu kluczowego charakter komplementarny, jak również substytucyjny tzn. uzupełniać dostawy przedsiębiorstw wielkich w tych grupach asortymentowych, w których odczuwa się niedobór towarowy (np. wyrobów z tworzyw sztucznych) oraz oferować te same wyroby, które wytwarza przemysł kluczowy, lecz w innych wzorach.

Także rynki zagraniczne, nasycone produkcją masową chętnie przyjmują wszystko to, co nosi cechy oryginalności, pomysłowości, folkloru, inwencji artystycznej. W produkcji eksportowej czołowe miejsce powinny zatem zajmować wyroby pamiątkarskie, zabawkarskie, tkaniny dekoracyjne itp.

Sądze, iż pozostawić też jednak trzeba przemysłowi drobnemu — wbrew niektórym sugestiom — uzasadniony ekonomicznie zakres produkcji środków wytwarzania. Przydatność i opłacalność produkcji tych wyrobów dla gospodarki narodowej jest znaczna i jej dalszy rozwój jest bez wątpienia potrzebny. W tej dziedzinie stosunkowo największe perspektywy dla przemysłu drobnego rysują się w kooperacji. Istnieniu wielkiego koncentrowanego przemysłu towarzyszyć będą zawsze drobne zakłady wchodzące z nim w związki kooperacyjne. Celowość takiej kooperacji w świetle dotychczasowej praktyki, jak i prowadzonych badań ekonomicznych jest rzeczą bezsporną, ustalenie natomiast wymaga zakresu struktury i opłacalności powiązań

kooperacyjnych przedsiębiorstw wielkich z drobnymi.

Wyraźnymi predyspozycjami odznacza się przemysł drobny w działalności usługowej. Zakłady małe, z istoty swej opierające się na niewielkiej koncentracji czynników wytwórczych i mogące elastycznie dostosować strukturę usług do potrzeb konsumentów, mają wszelkie konieczne warunki do spełnienia zadań w dziedzinie usług. Inna sprawa, że możliwości te nie są jeszcze wykorzystywane.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ GÓRA

Określenie kierunkowych zadań nie wyczerpuje całej złożoności problematyki funkcjonowania drobnej wytwórczości. Następnym zagadnieniem — pozostającym w sferze dość gorących dyskusji — jest kwestia wyboru modelu przedsiębiorstwa przemysłu drobnego. Do tej pory wiadomo tylko, że jest ono jednostką o niewielkich rozmiarach produkcji, zatrudnienia, majątku trwałego itd. Dla sprawnego zarządzania przemysłem drobnym wiedza ta jest dalece niewystarczająca, zważywszy, iż dotychczas zakładem drobnym jest i przedsiębiorstwo państwowe i spółdzielnia i warsztat prywatny. Wyłączając z rozważań — mający marginalne znaczenie — przemysł prywatny, do rozstrzygnięcia pozostaje dylemat: zakład państwowy czy spółdzielnia.

Nie roszczać sobie prawa do ostatecznego zamknięcia dyskusji na powyższy temat, chciałbym zaproponować własny pogląd wyrobiony na podstawie przeprowadzonych badań i poczynionych obserwacji.

Z punktu widzenia ekonomicznych kryteriów oceny skuteczności działania państwowych i spółdzielczych jednostek drobnej wytwórczości sądzę, że przedsiębiorstwem mającym aktualnie większe szanse realizacji przedstawionych wyżej zadań jest spółdzielnia pracy.

Spółdzielczość pracy ma dominujący udział w produkcji przemysłu drobnego (66,3 proc.), co jest rezultatem nie tylko większego potencjału wytwórczego, jaki posiada ten pion organizacyjny. Znaczny wpływ na to ma zdecydowanie szybsze tempo rozwoju przemysłu spółdzielczego w porównaniu z państwowym przemysłem drobnym, a także w stosunku do całego przemysłu państwowego.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę okres 1980—1972 (po tym roku nastąpiły dość radykalne przegrupowania organizacyjne w drobnej wytwórczości), to dynamika wzrostu produkcji (bez nakładztwa) w spółdzielczości pracy wyniosła 256,5 proc., natomiast — tylko 154 proc. w przemyśle drobnym (całego przemysłu państwowego — 253,1 proc.).

Nader ważny jest przy tym fakt, że — jak wykazuje analiza czynników wzrostu produkcji — w rozwoju przemysłu spółdzielczego pracy większe znaczenie, niż w przemyśle terenowym miał wzrost wydajności pracy. Wskaźnik udziału wzrostu

wydajności pracy we wzroście produkcji w spółdzielczości pracy wynosił za ten okres 79,6 proc., a w przemyśle terenowym — 69,6 proc. Proces wdrażania intensywnych metod rozwoju produkcji przebiegał zatem znacznie szybciej w spółdzielniach pracy niż w zakładach terenowych, co jednak — podkreślmy — odbywało się w warunkach mniejszej kapitalochołoności spółdzielczej produkcji.

Zaznaczyć trzeba, że struktury branżowe produkcji spółdzielczości pracy i przemysłu terenowego są bardzo zbliżone pod względem udziału przemysłów kapitalochołoności. Dlatego też możliwe jest porównywanie zaangażowania środków trwałych w obu tych pionach drobnej wytwórczości. Porównanie to okazuje się bardziej korzystne dla spółdzielni.

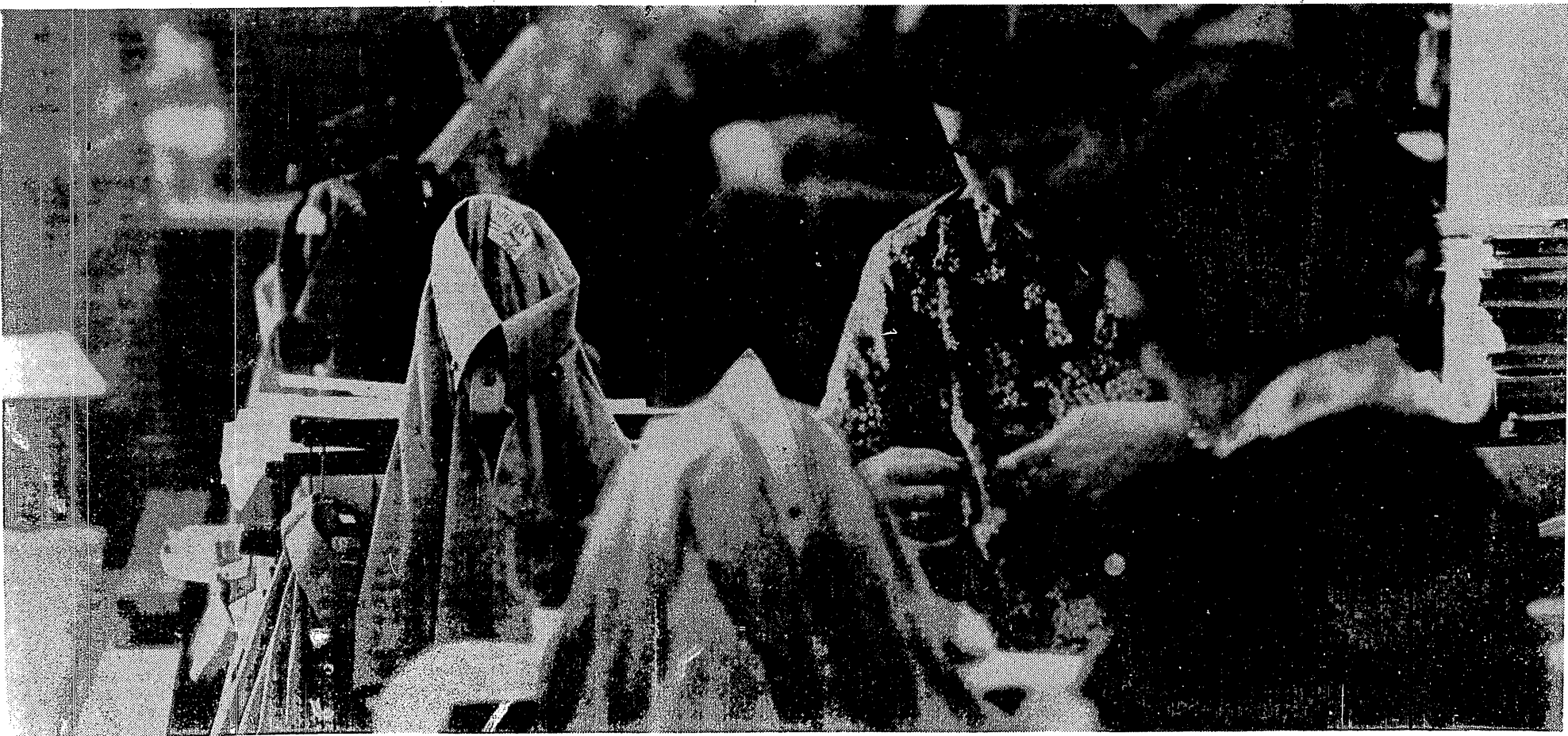
I tak w 1973 r. (wszystkie dane zaczerpnięto z Rocznika Drobnej Wytwórczości 1974, IEUIDW) wartość maszyn i urządzeń przypadająca na 1 robotnika grupy przemysłowej wyniosła w państwowym przemyśle drobnym 39,4 tys. zł. zaś w spółdzielczości pracy — 22,3 tys. zł. Wyraźnie niższy koszt stanowiska roboczego w spółdzielni pracy idzie w parze ze znacznie wyższą produktywnością środków trwałych. Wartość produkcji globalnej w przeliczeniu na 1 zł majątku trwałego wynosi w państwowym przemyśle drobnym 2,59 zł. a w spółdzielczości pracy 4,61 zł. przy czym udział kosztów materiałowych w całkowitym koszcie wytwarzania produkcji towarowej w obu pionach kształtuje się średnio na analogicznym poziomie (ponad 60 proc.).

Interesującego materiału dostarcza również porównawcza analiza efektywności gospodarowania wybranych spółdzielni pracy i przedsiębiorstw wielkich, kluczowych²⁾. Generalnie ujmując, wykazuje ona wyższą efektywność zakładów kluczowych w zakresie wydajności pracy, rentowności, stopy zysku. Niemniej jednak wyniki ekonomiczne osiągnięte przez przedsiębiorstwa spółdzielcze nie odbiegają w sposób istotny od rezultatów uzyskiwanych w przemyśle kluczowym, a w pojedynczych przypadkach nawet je nieco przewyższają.

W podsumowaniu stwierdzić wypada, iż warunkiem kompleksowego rozwoju przemysłu w regionie jest powiązanie wszystkich form działalności produkcyjnej z potrzebami i zadaniami poszczególnych jednostek układu terytorialnego. Przemysł drobny — odpowiednio wymodelowany i wyposażony w niezbędne środki — powinien zająć w tym układzie pozycję stosowną do specyfiki i rozmiarów posiadanego potencjału produkcyjnego.

¹⁾ Kompetencje te mogłyby przejąć wyspecjalizowane agendy Komisji Rozwoju Makroregionalnego, o których pisze A. Karpiniński w artykule „Planowanie makroregionalne”, „ZG” nr 3 z 1973 r.

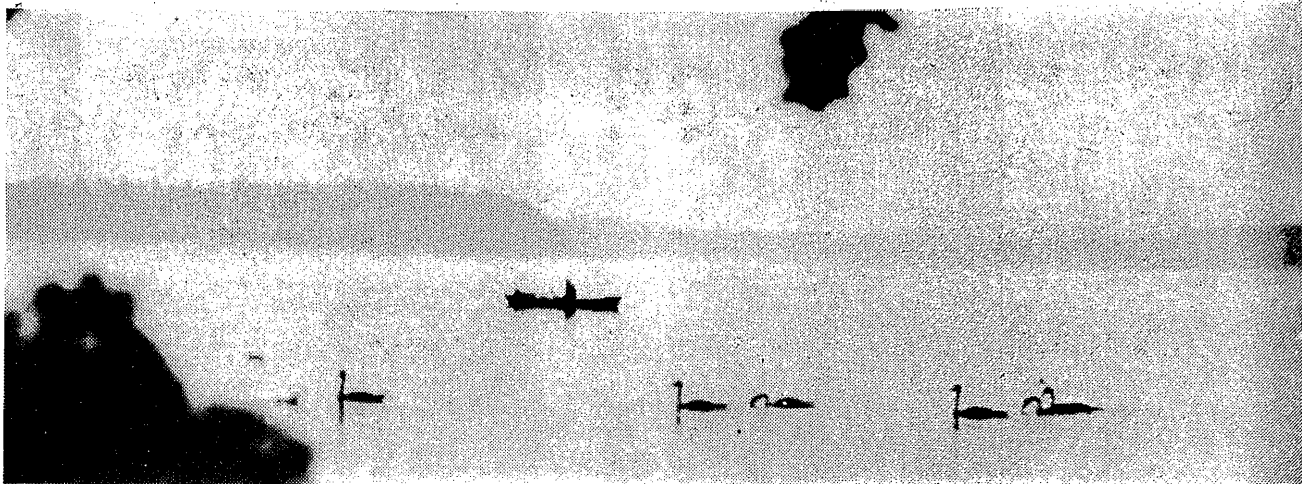
²⁾ Autor przeprowadził szczegółową analizę czterech par przedsiębiorstw państwowego (kluczowego) i spółdzielczego przemysłu odzieżowego dobranych na zasadzie podobieństwa asortymentowej produkcji i znajdujących się na terenie tej samej województwa.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

HORROR NAD BRZEGAMI KISAJNA

JACEK BOŁDOK



DZIENNIKARZ jest ziem samym w sobie. Ale trudno już o coś gorszego niż dziennikarz parający się wędkowaniem. Nawet argumenty, które trafiają, bywa, do innych, w jego przypadku rozbijają się o mur fanatyzmu...

Taki jest punkt widzenia ludzi zajmujących się organizacją profesjonalnych połowów ryb w naszych rzekach i jeziorach, co wyznano mi z ujmującą szczerością i tonem na pół żartobliwym.

Rzeczywiście, nieczęsto się zdarza, żeby problem tak marginalny dla ogólnonarodowej gospodarki, jak rybołówstwo śródlądowe, odbijał się równie szerokim echem w środkach masowego przekazu, żeby spory były przy tym tak namiętne i w tak znacznej mierze wypływały z nieporozumienia. Ta raząca dysproporcja przyczyn i skutków, znajdująca wyraz w spontanicznych reakcjach społecznych, każe się zastanowić, czy całej sprawie nie należałoby przenieść z płaszczyzny gospodarczo-ekonomicznej, operującej kategoriami rocznego planu i zysku w złotych, na jakąś inną?

Jako uosobienie dziennikarskiego horroru bawiłem ostatnio w Giżycku nad brzegami Kisajny, nad jeziorami Niegocin i Dargin, należącymi do kompleksu Wielkich Jezior Mazurskich. I postaram się nie zawieść pokładanych we mnie nadziei.

WROTA RAJU

W Giżycku mieści się jeden z czterech zakładów Państwowego Gospodarstwa Rybackiego z siedzibą w Olsztynie. W miarę możliwości starałem się dociec, jak gospodaruje dyrektor JANUSZ GODZIMIRSKI i jego pięćdziesięciu rybaków na powierzonych im 14 tysiącach hektarów jezior. I wyszło mi, że bardzo dobrze, co zresztą później potwierdziła najwyższa władza od uzysku karpia, czyli Centralny Zarząd Państwowych Gospodarstw Rybackich.

Kilka jest elementów, które składają na wysokiej oceny poczyną góżyckiego zakładu. Zaczynamy od tego, że co roku nie tylko wykonują, lecz przekraczają plan odłowów, mimo że plan bez przerwy skacze o kilkanaście do kilkudziesięciu ton w górę. Takich, co wykonują plan, znalazłoby się jednak bez trudu więcej, rzecz polega na tym, że oni radzą sobie z nim w dziewięć miesięcy. Dzięki temu jako jedyni gospodarstwo rybackie w Polsce już od czterech lat nie prowadzą zimowych połowów pod lodem. Sprawa ma kapitalne znaczenie, bo zimowe połowy płoszą ryby z obranych przez nie najdogodniejszych siedlisk naturalnych. Wiele ryb wówczas ginie, inne w marnej kondycji doczekują wiosennego tarła.

Trzy wolne od połowów zimowe miesiące załoga przeznaczą na pozytywnie trzeć, co przynosi gospodarstwu dodatkowy dochód sięgający 20 proc. wartości złowionej ryby.

Dalej — na plusowe konto góżyckiego gospodarstwa trzeba wpisać, że nie tylko bierze od przyrody, lecz również wyjątkowo dużo daje.

19 hektarów stawów hodowlanych służy wyłącznie celom zarybieniowym, dalsze 40 ha — jest w budowie.

Do jezior, w których zbyt intensywnie przebiega proces eutrofizacji, sprowadza się roślinnożernego amura i tołpygę z Konina, narybek węgorza przylatuje aż z Francji.

Jako pierwsze w Polsce góżyckie gospodarstwo wprowadziło podchowianie narybku, od 2 tygodni do 5 miesięcy, co w niektórych przypadkach aż stukrotnie pozwala zwiększyć efekty zarybiania.

Fakt, że aż 25 proc. wartości złowionej ryby przeznaczają się tutaj na zabiegi hodowlane, już sam w sobie skłania do ocen życzliwych. Ale przecież trzeba dodać, że sprawa nie tylko w liczbach globalnych. Zupel-

nie inne efekty daje wylanie beczki z narybkiem do jeziora jak podłeci, inne zaś — wpuszczenie przychówku nocą w miejsce, które uprzednio zbadał ichtiolog i uznał za najdogodniejsze dla danego gatunku siedlisko. Trzeba lubić i cenić swój zawód, żeby pamiętać także o fali przybojowej, której ledwo odchowany narybek nie sprostą, wyginie, żeby z szuflą wapna w ręku przepędzać ławicę drapieżnego okonia...

W rezultacie, mimo że przemysłowe i wędkarskie odłowy rosną z roku na rok, mimo że zanieczyszczenie jeziora Niegocin osiągnęło już stan krytyczny, a o innych powiada się z rezerwą, że „rybacko nie zostały jeszcze zdegradowane”, stado podstawowe nie tylko się nie zmniejsza, lecz niektórych gatunków nawet przybywa.

Tutaj dygresja na temat, którego nie sposób pominąć, tyle bowiem budzi kontrowersji: łowienie za pomocą prądu — główna przyczyna pomstowania na rybaków zawodowych.

Prąd elektryczny, mimo szkolnych mądrości o „kawalku bursztynu, który gdy się potrze...” — większości ludzi jawi się jako siła tajemnicza, a przez to — tym bardziej groźna. Ingerencja więc agregatu elektrycznego w delikatne środowisko naturalne nieuchronnie kojarzy się z masakrą. Otóż to nie jest całkiem tak.

Publikowane u nas wyniki badań polskich i radzieckich sugerują, że połowy za pomocą aparatury elektrycznej nie przynoszą żadnej szkody środowisku. Co wobec tego przemawiać może przeciwko tej metodzie, skąd tyle zastrzeżeń?

Badania przeprowadzono w warunkach niemal laboratoryjnych, uwzględniono w nich tylko optymalne parametry techniczne aparatury, mimo to wnioski uczonych zostały sformułowane tonem bardzo powściągliwym, starannie wystrzegano się wszelkich uogólnień. A przecież wiadomo, że w codziennej praktyce róż-

nie bywa i przy całym szacunku dla zawodu — nie sądzę, aby dyscyplina rybaków dorównywała rygorystom naukowców.

Po drugie: przeciwko łowieniu prądem wypowiadają się starzy praktycy, którym dobro ryb i środowiska rzeczywiście leży na sercu. Nie potrafią oni operować argumentami o wadze naukowych dowodów, ale wskazują konkretne szkody, być może wynik niewłaściwego stosowania agregatów. Wreszcie nieufność wobec tej metody budzą same wady rybołówstwa śródlądowego, które wolą posługiwać się argumentami natury ekonomicznej niż przyrodniczej: jeśli tyle wydajemy na hodowlę węgorza, musimy go jakoś odzyskać...

Sumując: przesada z tą apokaliptą, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że stosowanie agregatów elektrycznych powoduje trudne obecnie do sprecyzowania skutki ujemne dla potomstwa porażonych ryb, pewna ilość ryb po takich zabiegach gnije na dnie jeziora.

Dyrektor Godzimirski, dodajmy, nie jest entuzjastą tej metody i w jego gospodarstwie z agregatem eksperymentuje tylko jeden rybak, odławiając rocznie 2 tony ryb (na 408 w całym gospodarstwie).

W tym miejscu panegiryk dobiega końca. Mamy oto wzorowe gospodarstwo, że daj Boże każdemu. Kilkudziesięciu wysoko wykwalifikowanych ludzi, w tym aż pięciu ichtiologów z wyższym wykształceniem, stawy hodowlane, służby pomocnicze, drogi sprzęt, magazyny itd. A efekty zaangażowania tego majątku oraz ciężkiej rocznej pracy w tym wzorowym gospodarstwie? Półtora miliona zysku, czyli tyle co nic. Rzeczowe: czterysta ton ryby, z czego ponad połowę stanowią mało wartościowe gatunki — płóc i leszcz, a i to część się marnuje na skutek ogólnie znanych trudności z uzyskaniem łatem lodu. Społeczne: jeden z najtra-

kcynniejszych w Europie mikroregionów turystycznych, którego walory naturalne biorą w obronę nie tylko polscy uczeni, po cichu rezygnuje ze swojej głównej, obok żagli, atrakcji — wędkarstwa. Bo trzeba powiedzieć, że te gatunki ryb, które pomagają wykonywać plan rybakom i stanowią przedmiot hodowlanej troski — są najmniej interesujące dla wędkarzy, których w samej tylko Polsce mamy dobrze ponad pół miliona. Czy rzeczywiście opłaca nam się warzyć to piwo?

KRÓL SIELAWA. CZY KRÓL SZCZUPAK?

Pewne sprawy widać wyraźniej na szerszym tle. Na każde 73 kg ryb, jakie uzyskują nasi rybacy morscy, przypada raptem jeden kg ryby złowionej w jeziorze. Można na to spojrzeć także inaczej: polskie gospodarstwo rybne uzyskuje rocznie z jezior 7960 ton ryby, to jest mniej więcej tyle, ile wynosi produkcja dwóch i pół nowoczesnych ferm tuczu trzody chlewnej. Jakże byśmy jednak wskaźniki zastosowali, zawsze okaże się, że znaczenie przemysłowego pozyskiwania ryb na jeziorach jest znikome nie tylko dla naszej gospodarki, lecz nawet — naszych interesów żywieniowych (około 20 dkg rocznie na głowę statystycznego mieszkańca).

Czy sugeruję, że ryby śłodkowodne w imię bliżej nie sprecyzowanego pojęcia gospodarczej efektywności i także mglistych celów wyższego rzędu powinny całkiem zniknąć z naszych stołów?

Oczywiście bzdura; chciałbym jedynie zaproponować przedyskutowanie pewnych — możliwych chyba do przyjęcia w regionie Wielkich Jezior Mazurskich, ze względu na ich wielostronną atrakcyjność — rozwiązań, za którymi przemawiają racje ekonomiczne, społeczne i zdrowotne rozsądek.

W tej chwili państwowe gospodarstwa rybackie eksploatują 282 tys. ha jezior, angażując spory potencjał ludzki i materialny, a efekt tego gospodarowania jest niewielki — 7960 ton ryb w skali roku. Jedną trzecią tej ilości — 2740 ton — odławiają wędkarze amatorzy.

Te same gospodarstwa z 37 tys. ha stawów uzyskują 10 800 ton ryb. Nic dziwnego, bo wydajność naturalna 7 hektara marnego stawu wynosi u nas 70 kg, dobrego — osiąga nawet 160 kg. Przy zastosowaniu odpowiednich pasz wydajność ta wzrasta średnio do 400 kg, ale może dojść i do 1000 kg z hektara. Tymczasem przeciętna wydajność z hektara jeziora nie przekracza 35 kg. Jeśli odliczy się z tego 7 kg na połowy wędkarskie, zostanie skromne 28 kg. A nasze stawy, dodajmy, są fatalnie zaniedbane, do 1980 roku 2 tys. ha trzeba będzie zamienić na użytki rolne i leśne, dalsze dziesięć tysięcy ha wymaga odbudowy.

Przy dobrej gospodarce efektywność inwestowania w stawy może być bardzo wysoka. Wystarczy powiedzieć, że dla uzyskania rocznie jednej tony produktu gotowego w nowoczesnej fermie tuczu trzody chlewnej potrzeba zainwestować 62,4 tys. zł, o czterysta złotych więcej niż dla uzyskania tej samej tony produktu w stawie hodowlanym. Przy czym w dobre przejściowych trudności surowcowych nie od rzeczy będzie także argument, że nakłady inwestycyjne na materiały wynoszą odpowiednio 49,8 tys. i ledwie 19,2 tys. zł. Dodajmy, że stawy zapewniają stosunkowo krótki okres zwrotu nakładów inwestycyjnych i bardzo korzystny, choć w zasadzie niewymierny wpływ na środowisko z tytułu retencji wody.

Wobec powyższego całkiem serio proponowałbym, aby maksymalnie intensyfikować gospodarkę stawową, poniechać zaś nieefektywnego pozyskiwania ryb z jezior mazurskich metodami przemysłowymi. Zaryzykowałbym twierdzenie, że przy takim rozwiązaniu ogólne ilości ryb na naszych stołach nie będą o wiele mniejsze, natomiast zyski społeczne i złotówkowe niepomiaralnie wzrosną.

Już w tej chwili, gdy polityka zarybieniowa preferuje interesy gospodarstw rybackich, wędkarze odławiają jedną trzecią tego, co rybacy zawodowi. Przy utrzymaniu jedynie niezbędnych połowów selekcyjnych i pewnej zmianie struktury gatunków, połowy wędkarskie z łatwością mogą wzrosnąć trzy- i czterokrotnie — potwierdzają specjaliści. Efekt rzeczowy, czyli ilość ryby na stołach, pozostałaby więc w przybliżeniu ten sam.

Obecnie, gdy państwo ponosi tak poważne nakłady na gospodarkę rybną na jeziorach, korzystający z jednej czwartej efektów tego działania wędkarze placą jedynie symboliczne kilkanaście złotych za połów na wodach państwowych gospodarstw rybackich, a i to tylko teoretycznie, zyski zaś własne przedsiębiorstw, wyrażane w złotych, są znikome.

Wydaje się, że ustalenie sensownych opłat za sportowy połów ryb na wędkę na tych wodach nie powinno przedstawiać większych trudności. A biorąc pod uwagę rozmiary zainteresowania wędkarstwem w naszym kraju — efekt ekonomiczny będzie raczej większy niż dotychczas. Ale to jeszcze nie wszystko:

Kiedy jako dziennikarz i wędkarz w jednej osobie straszylem ostatnio władze rybackie nad mazurskimi jeziorami, w tej samej okolicy bawiła grupka Szwajcarów. Umowę z dyrektorem gospodarstwa rybackiego mieli taką: co zjedzą, to ich, resztę złowionej ryby odstawiają do gospodarstwa. W ciągu tygodnia dostarczyli ponad czterysta kilogramów szczupaka.

I to jest właśnie ten model, o jaki mi chodzi: racjonalne opłaty za prawo wędkowania, masa wrażeń na jeziorach dziś już pięknych, a w przyszłości jeszcze tak rybnych, że masowo ściągających turystów zza granicy, i nadwyżki ryby bezpłatnie oddawane państwu.

Jaka w tym układzie byłaby rola państwowych gospodarstw rybackich w tym regionie? Ogromna. Prowadzenie stawów hodowlanych i całej polityki zarybieniowej. Odłowy selekcyjne. Troska, na miarę możliwości, o czystość wód. Walka z klusownictwem, które od pewnego czasu stało się prawdziwą plagą. Dodatkową sferą działalności mogłyby stać się także stacje wędkarskie.

Do tej pory, z raczej mniejszym niż większym powodzeniem, zbliżoną do tego modelu działalność uprawia organizacja społeczna — Polski Związek Wędkarski. Przejście przez stające państwowe organizacje gospodarcze szeregu funkcji społecznych, przy jednoczesnym wywołaniu ich z więzów planu odłowów mogłoby z regionu Wielkich Jezior Mazurskich uczynić zagłębie rekreacji unikalne w skali światowej, przynosząc jednocześnie wymierne skutki gospodarcze.

Marzy mi się, że eksperymenci taki podejmą cztery zakłady Państwowego Gospodarstwa Rybackiego w Olsztynie — Węgorzewo, Giżycko, Mikołajki, Ruciane — i miejsce odraapanej sielawy w koronie, znaną każdemu, kto przechodził mostem nad Tałtami, zajmie drapieżny szczupak, jedno z najcenniejszych wędkarskich trofeów.



Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

OSKAR LANGE—EKONOMIA POLITYCZNA A NAUKI POMOCNICZE

HELENA HAGEMEIEROWA, IRENA ULATOWSKA

SOCJALIZM jest nowym ustrojem, który dopiero powstaje — mówił Oskar Lange w 1958 r.¹⁾ — W związku z tym teoria ekonomiczna tego ustroju znajduje się dopiero w stadium początkowym. (...) Wobec tego nie ma nic dziwnego w tym, że problem ekonomii ustroju socjalistycznego jest nową i naukową jego oceną ma ująć charakter próby i tymczasowy. Punktem wyjścia jednak było dla Lange'a stwierdzenie, że w społeczeństwie socjalistycznym działają obiektywne prawa ekonomiczne.

Pośród tych praw wyodrębnić należy grupę praw ogólnych, działających nie tylko w ustroju socjalistycznym: są to prawa określające pewne techniczne związki natury bilansowej, ogólne prawa produkcji i reprodukcji. Prawidłowości te określają pewne konieczne warunki procesu produkcji materialnej w społeczeństwie. Na to jednak, aby prawa ekonomiczne mogły być wykorzystane w praktyce przez politykę ekonomiczną i planowanie gospodarcze, konieczna jest ich konkretizacja. Materiału służącego owej konkretizacji dostarczały różne nauki opisowe, wśród których szczególną rolę odgrywa statystyka gospodarcza; natomiast narzędzia i metody daje ekonometria, zajmująca się „liczbową konkretizacją praw ustalanych przez ekonomię polityczną” i stosująca w tym celu aparat naukowy statystyki matematycznej.

W toku rewolucyjnych przeobrażeń społecznych i gospodarczych i gruntownej przebudowy struktury społeczno-gospodarczej Polski, które stanowiły podstawowe zadania Planu Sześcioletniego, ujawniły się — obok osiągnięć — poważne dysproporcje w szczególności „obiektywne dysproporcje materialne”, które stały się źródłem niedomagań i zaburzeń w procesie produkcji i na dłuższą metę musiałyby mieć niekorzystne konsekwencje utrudniające i hamujące dalszy rozwój gospodarki narodowej.

Zwracając uwagę na ten fakt, Lange podkreślał, że źródłem tych dysproporcji należy szukać — obok obiektywnych konieczności historycznych określonej fazy rozwoju — w dużej mierze w niedostatkach zastosowania metod planowania i zarządzania gospodarką narodową. Bezwzględna koncentracja środków na nielicznych zadaniach wezłowych i ramowe tylko koordynowanie planów, podporządkowanie tym zadaniom, nieuniknione na wczesnym etapie rozwoju, przestają wystarczać.

Conditio sine qua non dalszego postępu stała się bardziej wszechstronna koordynacja planu, a narzędziem tej koordynacji stała się o wiele bardziej precyzyjny niż dotychczas rachunek bilansowy, wykorzystujący w szczególności metody zastosowane w analizie przepływów międzygospodarczych. Konieczna jest koordynacja planów zarówno w ich rzeczowym, jak i w finansowo-

pieniężnym aspekcie; konieczne stało się zapewnienie „równowagi” różnego typu i skali, równowagi między produkcją a spożyciem, partycularnych i globalnych równowag rynkowych itp. Stwarza to zapotrzebowanie na metody analizy ilościowej, umożliwiające nadanie konkretnej postaci funkcynym zależnościom (i określenie ich liczbowych parametrów) między powtorem a ceną czy dochodem między tempami wzrostu produkcji różnych dóbr itp.

Z perspektywy lat, jakie dzieła nas od pierwszych prac Lange'go z tego zakresu, zmierzających do powiązania metod ekonomicznych i teorii przepływów z ekonomią marksofską i z planowaniem gospodarki narodowej, nie zawsze potrafimy już sobie uświadomić, jak dalece w owym czasie poglądy ten odzwierciedlały jako kontrowersyjne. To, że przedstawiane w wykładach i książkach Lange'go metody konstruowania bilansów gospodarki narodowej, ustalania równowag międzygospodarczych i międzydziałowych, analizy procesów akumulacji, badania równowag rynkowych, ujmowania problemów amortyzacji i odnowy itp., stanowią dziś podstawowy arsenał środków stosowanych przez planistów; że metody te znacznie zostały rozwinięte; że mamy dziś wiele dobrych podręczników ekonometrii i że prowadzi się wiele użytecznych badań w tej dziedzinie — stanowi i zasługę Lange'go, i dowód — weryfikację — słuszności jego ówczesnego stanowiska.

Pisząc o tom **EKONOMII POLITYCZNEJ — ZAGADNIENIA OGÓLNE**, Lange podejmował w nim próbę uporządkowania — czy klasyfikacji — związków między ekonomią polityczną „właściwą” a naukami szczegółowymi i pomocniczymi. Na przykładzie metod ekonomicznych i statystycznych dowodził tam bezpośrednio, „roboczo” użyteczności matematyki i czerpanych z niej narzędzi; słuszność tych wywodów sprawdziła się rychło w praktyce, nie tylko naszej, ale wszystkich krajów naszego obozu. Równocześnie jednak w sformułowanych **ZAGADNIENIACH OGÓLNYCH** duża — wielu krytyków uważało i uważa nadal, że zbyt duża — rolę odgrywała „zasada gospodarności”, a w związku z nią sprawa stosunku między ekonomią a prakseologią jako nauką o racjonalnym działaniu.

Wprowadzenie tego elementu do traktatu, który miał przedstawiać niejako „fundamenty” nauki ekonomicznej, miało trzy co najmniej aspekty: po pierwsze, pociągało za sobą eksploatację coraz bardziej wyrafinowanego aparatu matematycznego dla celów „high theory”; po drugie — dokładniej niż dotąd precyzowało zasady „racjonalnego” działania praktycznego, co trafiało

na szczególnie podatny grunt wśród „zdroworozsądkowej” kadry inżynierjno-menedżerskiej, po trzecie wreszcie, z natury rzeczy zdawało się prowadzić do skupienia uwagi ekonomii głównie na wymiernych, „kwantyfikowalnych” stronach procesów społeczno-gospodarczych. Rosnące zainteresowanie Lange'go „prakseologicznymi” kategoriami i prakseologią „stosowaną” — a więc, w jego ujęciu, teorią programowania, analiza operacji, analiza systemowa (a wreszcie cybernetyka, w szczególności teoria informacji i teoria regulacji) — nie wynikało — a w każdym razie nie tylko — z charakterystycznej dla niego skłonności do systematyzowania nauk, precyzowania ich wzajemnych związków i ich „integrowania” w bardziej całościowy system. Wiazało się ono ściśle z jego wyobrażeniami o rozwoju rzeczywistości społeczno-gospodarczej, z jego oceną kierunku ewolucji metod planowania i zarządzania gospodarką narodową; selektywny jego umysł zgodnie ze swoistą zasadą koncentracji wysiłku wybierał problemy najbardziej jego zdaniem „palące” z punktu widzenia praktyki.

Właśnie w I tomie **EKONOMII POLITYCZNEJ** (1959) w rozdziale **O zasadzie racjonalnego gospodarowania** zawarta jest w zarysie zarówno treść jednego z ostatnich artykułów Lange'go. Od bilansowania do optymalnego planu (1965)²⁾, jak i program jego pracy na najbliższych parę lat, które niestety miały okazać się ostatnimi. Wyrazem stosowania na skalę ogólnospołeczną — a więc w socjalizmie — zasady ekonomicznej racjonalności musi być przede wszystkim koordynacja i kwantyfikacja zarówno rozporządzalnych środków, jak i postulatów „właściwych celów”. „Bilansowa” faza w rozwoju planowania — to tylko niezbędny pierwszy krok, a zarazem podstawa stosowania w pełni zasady racjonalnego gospodarowania. Krokem następnym jest optymalizacja, w najbardziej „technicznym”, wąsko-ekonomicznym rozumieniu tego wyrazu optymalizacja jest tożsąca z „najbardziej”, „najlepszym”, „najoszczędniejszym”, „maksymalizującym” (minimalizującym) cel przy użyciu ograniczonych środków. Stosowane w tradycyjnej ekonomii burżuazyjnej (a także w niedoskonałym sposób, bo na podstawie niedokładnej informacji czy zawodnej intuicji, w praktyce) partykularne maksymalizacje czy minimalizacje (ich odpowiednikami są podjęciowe „równowagi producenta” czy „konsumenta”) nie wystarczają w takich sytuacjach i w takich dziedzinach ludzkiej działalności, gdzie „występuje zagrożenie koordynacji wielkiej liczby czynności zmierzających do osiągnięcia określonego celu oraz optymalnego układu tych czynności”. Nie wystarczają wtedy również zbyt grube agregaty ekonomiczne. W takich sytuacjach narzędzie analizy i podstaw

do działania dostarczają owe „stosowane działy prakseologii”.

„Zbilansowanie planu” jest warunkiem jego praktycznej wykonalności, ale „zbilansowanych” wariantów może być wiele: chodzi o to, aby wybrać plan optymalny. Osiągnięty stopień dojrzałości socjalistycznej gospodarki, jej wykrystalizowanie się, jej „ustabilizowanie się” (pisał Lange w 1965 r.) stwarza przesłanki „dokonywania wyboru optymalnego planu na podstawie szerokiego rachunku gospodarczego” — stwarza, w postaci rozwiniętej statystyki i sprawozdańczości gospodarczej, bilansów całościowych i częściowych, wyznaczonych metodami ekonomicznymi parametrów różnych procesów i zależności — „material”, którym w tym wyborze i w tym rachunku można się posługiwać. (Kwantyfikacja jako warunek rachunku optymalizacji). „Osiągnięty stopień dojrzałości socjalistycznej gospodarki” rodzi również konieczność tego rachunku, gdyż wzrost stopnia komplikacji tej gospodarki, jej związków wewnętrznych (dywersyfikacja produktów i technik; mnogość równoległych zadań; rosnący nacisk na zastosowanie produkcji do potrzeb ludności) i zewnętrznych (współpraca z krajami socjalistycznymi i resztą świata) stają się coraz bardziej wielostronne i złożone. „Aby ująć cały ten rosnący kompleks socjalistycznej gospodarki w system funkcjonujący optymalnie, trzeba ścisłego rachunku i odpowiednich metod matematycznych”.

Temu celowi poświęcił Lange w pierwszym rzędzie swoje wykłady na temat teorii programowania i powstała na ich podstawie książka **OPTIMALNE DECYZJE**. Warto zwrócić uwagę na realizację jego spojrzenia na praktyczne warunki zastosowania rachunku optymalizacyjnego; zdając sobie sprawę z tego, jak dalece „warunkiem ograniczającym” jest tu przygotowanie władzającym odpowiednim aparatem matematycznym kadry, nie tylko uczył sam (i sam się uczył), lecz w miarę możliwości wywierał wpływ na rozbudowę odpowiednich kierunków studiów. Inna ściśle techniczna przesłanka stosowania metod optymalizacyjnych w praktyce była dostępność „środków szybkiego dokonywania rozległych obliczeń”. Niezbyt uważny czytelnik prac Lange'go z ostatniego okresu jego życia niedługo później wyciąga pochopny wniosek na temat jego zaściankowości, „rewolucja komputerowa”, jego domniemany „utopijny cyborg”. Jak się wydaje jednak, masywna licząca była dla Lange'go po prostu narzędziem, w określonych warunkach niezbędnym.

Analiza programowania w warunkach niepewności, a w szczególności niepewności niewycenialnej, doprowadziła Lange'go do zjęcia

się pojęciami teorii gier, którym poświęcony jest ostatni rozdział **OPTIMALNYCH DECYZJI**. Czyniąc to jednak, wchodził na pogranicze jeszcze jednej młodej gałęzi nauki. Podmiot decydujący w warunkach niepewności dokonuje swych wyborów w zależności od tego, jaka informacja dysponuje; decyzja „optymalna” przy pewnych rozporządzeniach narzędziach informacji może być jeszcze „poprawiana”, jeśli zmienia się owe narzędzia informacji. Jeśli w grę wchodzi wielu decydentów, których decyzje mają być na różnych szczeblach koordynowane, powstaje potrzeba rozróżnienia pomiędzy optymalnością dla poszczególnych decydentów — lub poszczególnych szczebli — a „optymalnością” całego układu.

Osiągnięcie całościowej „optymalności” złożonego układu czy systemu powiązanych ze sobą „elementów względnie odosobnionych” odbywa się za pośrednictwem szeregu sprzężeń między tymi elementami, szeregu procesów „regulacyjnych” cały system. „Optymalność” całości przejawia się w tym, że system ujawnia tendencje do zachowywania się zgodnie z pewnymi prawidłowościami bez względu na zakłócenia, do samoregulacji, do kompensowania zaburzeń i rozwijania się w pewien określony sposób. Wszystko to są kategorie czerpane z teorii regulacji i z teorii informacji, a więc z dwóch wielkich dziedzin cybernetyki.

Ta dziedzina nauk Lange zajął się już w latach czterdziestych; aparat cybernetyczny wykorzystywał po raz pierwszy dla celów przedstawienia i sprecyzowania fundamentalnych problemów materializmu dialektycznego w małej książeczce **CAŁOŚĆ I CZĘŚĆ. W ŚWIETLE CYBERNETYKI**. Książka to pisana była w zasadzie równolegle z pierwszym tomem **EKONOMII POLITYCZNEJ**; zestawienie bardziej „popularnego” wykładu praw materializmu dialektycznego z **EKONOMIĄ** z bardziej hermetycznym, ale i pogłębiłym ujęciem z **CAŁOŚCI I CZĘŚCI** jest niezwykle pouczające.

Opisując w tej ostatniej pracy cechy „ergodyczności” systemów jako odpowiednik ich „wytrzymałości” czy „zdolności do życia” (tj. samoregulacji „optymalności”) całościowej w najszerzym sensie Lange przygotowywał sobie aparat pojęciowy do ponownego podjęcia problematyki rozwoju społecznego, wewnętrznych sprzeczności, procesów powstawania, trwania i rozpadu formacji historycznych. Równocześnie sugerował nowe podejście do problematyki „bódców” i „reakcji”, wcale nie w czysto technicznym ani biologicznym rozumieniu.

Cybernetyka, z której wziął Lange aparat analityczny do swych fi-

lozoficznych uogólnień, w której technicznych zdobyczach — automatyzacji procesów produkcji, „serwomechanizmach”, komputerach — widział ogromne możliwości dla radykalnego usprawnienia procesów gospodarowania i planowania, została przez niego wykorzystana dla przedstawienia — niestety we wspomnianym tylko zarysie — szeregu problemów ściśle ekonomicznych. Równocześnie prawił z wykorzystaniem teorii regulacji, dla analizy sprzężeń zwrotnych zachodzących w gospodarce (chodzi nam tu przede wszystkim o analizę produkcji i reprodukcji ze **WSTĘPU DO CYBERNETYKI EKONOMICZNEJ**). Lange w paru swoich artykułach i referatach nawiązuje do informacyjnych aspektów centralizacji i decentralizacji, przewidyując niejako grunt pod analizę „optymalnej struktury organizacyjnej”. Ten kierunek w pracach samego Lange'go nie mógł już zostać rozwinięty.

Co gorsza jednak, nie mógł już Lange dokonać nowej syntezy własnego dorobku i własnych przemysłów z dziedziny jak najbardziej praktycznych zastosowań „prakseologicznych” metod zmierzających do racjonalizacji i „optymalizacji” działania gospodarczego — oraz z dziedziny badania podstawowych praw ekonomicznych ujawniających się coraz wyraźniej w nowym społeczeństwie socjalistycznym, praw już nie tylko „techniczno-bilansowych”, praw socjologicznych i historycznych, specyficznych praw struktury tego nowego społeczeństwa i praw jego rozwoju, zgodnych z „ogólnymi prawami rozwoju społecznego, które formułuje teoria historycznego materializmu”. Dopiero w takim ujęciu finezyjne zastosowania „pomocniczych nauk ekonomicznych” „zaskakują” niejako na swoje właściwe miejsce w ogólnej analizie ekonomii politycznej jako nauki społecznej w pełnym tego słowa znaczeniu.

Gdy po upływie kilku lat, a więc już z pewną perspektywą czy dystansem, spojrzeć uważnie na całość dorobku Lange'go, taka właśnie tendencja rozwojowa czy „trend” występuje chyba zupełnie wyraźnie. Ekonomia polityczna socjalizmu, stwierdzał Lange, niejednokrotnie, powinna badać społeczne stosunki kształtujące się i rozwijające w nowym ustroju. Ale warunkiem tego było wyposażenie ekonomisty w aparat pojęciowy nadający się zarówno do opisywania mechanizmów funkcjonowania i procesów rozwoju, jak i do wykrywania prawidłowości tam występujących.

¹⁾ *Ekonomia polityczna socjalizmu* (1959); O. Lange, Dzieła, t. II, s. 315 i nast.
²⁾ Tamże.
³⁾ Na ten temat bardziej szczegółowo zob. w Przypisach do tomu III Dzieł.
⁴⁾ Od bilansowania do optymalnego planu (1965), Dzieła, t. II, s. 398–408.
⁵⁾ *Ekonomia polityczna. Zagadnienia ogólne*, w: Dzieła, t. III, s. 410.

„STUDIA FINANSOWE”

KOLEJNY 19 zeszyt „STUDIÓW FINANSOWYCH”, wydawanych przez Instytut Finansów zawiera m. in. dwa opracowania o charakterze porównawczym¹⁾. Pierwsze z nich stanowi artykuł A. W. ZAWADZKIEGO zatytułowany „SYSTEMY BUDŻETOWE WYBRANYCH KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH”. Mimo podobieństw podstawowych założeń systemów budżetowych wszystkich państw socjalistycznych (jednakowe podstawy ustrojowe), w systemach tych zachodzą pewne dość istotne różnice. Celem przedstawionej analizy jest sformułowanie wniosków o kierunkach doskonalenia polskiego systemu budżetowego. Autor postuluje włączenie do budżetu znacznej części dotychczasowej gospodarki funduszu i tzw. gospodarki pozabudżetowej, likwidację instytucji budżetów zbiorczych i skrócenie dotychczasowej techniki opracowywania projektów budżetów na wszystkich szczeblach oraz ograniczenie szczególności prawa budżetowego. Drugim opracowaniem, poświęconym analizie porównawczej systemów socjalistycznych, jest praca E. WIECZORKA pt. „EWOLUCJA

FINANSOWANIA BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO W POLSCE NA TLE SYSTEMÓW WYBRANYCH PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH”. Autor omawia w ujęciu historycznym zasady i źródła finansowania budownictwa mieszkaniowego w Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech. Powszechnie obserwowaną tendencją jest wzrost roli środków własnych ludności i kredytu bankowego oraz zmniejszenia znaczenia środków budżetowych w finansowaniu budownictwa mieszkaniowego. Na zakończenie autor — na podstawie przeprowadzonej analizy — formułuje wnioski i postulaty w zakresie doskonalenia finansowania budownictwa mieszkaniowego w Polsce.

Następną pozycję omawianego zeszytu „Studiów Finansowych” stanowi opracowanie J. KOZIOŁA. Przedmiotem opracowania jest system finansowania inwestycji rolniczych. Na tle analizy sytuacji istniejącej w tej dziedzinie autor przedstawia wnioski dotyczące kierunków doskonalenia systemu i źródeł finansowania nakładów inwestycyjnych w rolnictwie.

Problematykę systemu ekonomiczno-financego jednostek inicjujących w 19 z. „Studiów Finansowych” reprezentuje praca T. SAWCZUKA pt. „PRZYROSTOWA I UDZIAŁOWA FORMUŁA KSZTAŁTOWANIA FUNDUSZU PEŁAC JEDNOSTEK GOSPODARCZYCH”. Na podstawie analizy mechanizmu funkcjonowania obu omawianych formuł autor przedstawia zalety i wady ich stosowania w różnych warunkach.

J. WRONSKI analizuje kształtowanie się siły nabywczej złotego w latach 1965–1972. Opracowanie zawiera obszerną część metodologiczno-teoretyczną, a następnie przedstawione są w nim tendencje zmian siły nabywczej pieniądza w Polsce.

Ostatnią pozycję omawianego zeszytu „Studiów Finansowych” stanowi opracowanie T. WASILEWSKIEGO pt. „RYZYKO W HANDLU DEWIZAMI”. Ze względu na wzrost znaczenia kapitalistycznego rynku dewizowego w polskim systemie rozliczeń z krajami kapitalistycznymi, problematyka ta jest obecnie niezwykle aktualna. Autor omawia m. in. działania Banku Handlowego zmierzające do zmniejszenia ryzyka kursowego.

I. B.

¹⁾ „STUDIA FINANSOWE” z. 19, PWE, Warszawa 1975.

„EKONOMISTA” 4/75

KOLEJNY, tegoroczny numer „EKONOMISTY” rozpoczyna się artykułem JÓZEFA PAJESTKI pt. „KRAJE SOCJALISTYCZNE W OBŁICZU NOWYCH TENDENCJI W ROZWOJU GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ”. Autor nawiązuje do kryzysu, który ogarnął kraje kapitalistyczne po roku 1970 i na tym tle omawia rozwój państw socjalistycznych. Chociaż niekorzystne zmiany w gospodarce światowej — kryzys surowcowo-energetyczny, kryzys żywnościowy, zalegająca inflacja — wywierają pewien ujemny wpływ na gospodarkę krajów socjalistycznych, to jednak wskaźniki wzrostu gospodarczego w tych państwach są nadal bardzo wysokie.

Wpływ na to mają — zdaniem autora — dwa podstawowe czynniki. „Pierwszym — pisze autor — były zalety struktury gospodarczej ukształtowanej w poprzednich etapach i opartej na zasadzie zespolonej samodzielności rozwojowej krajów socjalistycznych. W wyniku tego przeważającą część wymiany zagranicznej krajów socjalistycznych stanowią obroty wzajemne, co wzmacnia wewnętrzne i zewnętrzne czynniki stabilizujące. Drugim czyn-

nikiem podtrzymującym wysoką dynamikę rozwoju krajów socjalistycznych było zastosowanie odpowiednich środków ekonomicznych i finansowych do ochrony gospodarki przed niekorzystnym oddziaływaniem otoczenia.”

Artykułem niejako korespondującym z opracowaniem J. Pajestki jest materiał MIECZYSLAWA MIESZCZANKOWSKIEGO — „O PRAWIE RUCHU. FORMACJI KAPITALISTYCZNEJ”. Autor wychodząc z marksistowskiego prawa ruchu formacji antagonizujących sformułowanego w „Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej” stwierdza, że rozwój kapitalizmu dokonuje się w ramach długookresowych cykli strukturalnych. Pierwszy taki kryzys strukturalny miał miejsce w latach 1873–1886. Dopasowanie poziomu stosunków produkcji do rozwoju sił wytwórczych nastąpiło na drodze wzmożonej ekspansji kolonialnej, dzięki czemu znacznie rozszerzyły się rynki zbytu. Drugi kryzys przypada na lata 1929–1939. Tym razem jego złagodzenie było o wiele trudniejsze. Dopiero rozwój interwencjonizmu państwowego osłabił znacznie jego skutki. Ponadto wybuch II wojny

światowej diametralnie zmienił sytuację w ekonomice krajów kapitalistycznych.

Czyni trzeciego kryzysu wystąpił w początkach lat 70-tych i — zdaniem autora — „przewidywanie obecnego kryzysu będzie jeszcze trudniejsze niż poprzedniego”. W zakończeniu autor stwierdza, że „każdy strukturalny kryzys kapitalizmu jest nie tylko głębokim i długotrwałym wstrząsem ekonomicznym, lecz także społeczno-politycznym. Niesie ze sobą przemiany nie tylko w bazie ekonomicznej, lecz i jej nadbudowie...”

Ponadto w 4 numerze „Ekonomisty” na uwagę zasługują artykuły KRZYSZY CHOLEWICKIEJ-GOZDZIŁK podjętym próbę określenia tak bardzo dyskusyjnego pojęcia w teorii ekonomii, jakim jest ekonomiczny sens wartości użytkowej oraz JANINY LAUDANSKIEJ która swe rozważania poświęca międzynarodowej kooperacji przemysłowej.

W *Miscellaneous* JERZY TOMALA, na marginesie pracy Martina Carnoy’a „Education, as Cultural Imperialism” (New York 1974), prezentuje polskiemu czytelnikowi krytyczną analizę kapitalistycznego systemu oświaty i jego roli w rozwoju społeczno-gospodarczym.

(A.Ch.)

Sporo napisano na temat kryzysu walutowego; jego początki sygnalizowano już w połowie lat sześćdziesiątych. Od dość dawna szuka się sposobów rozwiązania problemu, najczęściej z pozycji skrajnie przeciwstawnych — tęsknocie jednych do waluty złotej, którą życie rugowało krok po kroku już od zakończenia I wojny światowej, towarzyszy młodzieńczy zapał do stworzenia zupełnie „nowego ładu” w postaci kreowanej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy międzynarodowej waluty (SDR). Zamęt w poglądach jest spory, a towarzyszy temu mała znajomość faktów.

WARTYKULE niniejszym stawiemy sobie za cel pogłębienie znajomości faktów, które pozwalają odpowiedzieć na wcale niełatwe pytanie: od czego zależy kurs waluty?

Kiedys można było mówić o parytecie monetarnym i w konsekwencji o kursie parytetowym, wynikającym z porównania parytetów dwóch walut (wyrażonych w złocie). Dziś parytety monetarne należą do przeszłości, ponieważ żadna waluta nie jest ani bezpośrednio ani pośrednio (tzn. poprzez dolara (jak to było zresztą w ograniczonych ramach do 15 sierpnia 1971 r.) wymienialna na złoto. Należy jednak mieć na uwadze, że nawet w przeszłości, gdy w takiej czy innej postaci funkcjonowała waluta złota lub dewizowo-złota, kurs walut zależał od relacji siły nabywczej danej waluty do innych walut. Zmiana tej relacji wymagała dawniej zmiany parytetu, obecnie zaś nie korzysta się z tej pośredniej drogi określania kursu danej waluty do walut pozostałych. Zmiany te następują albo w drodze dewaluacji lub rewaluacji, jeśli kursy są względnie stałe albo w drodze stosowania tzw. płynnych kursów, kształtujących się pod wpływem popytu i podaży na daną walutę na rynku dewizowym.

Błędem byłoby jednak sądzić, że sprawa już jest wyjaśniona. Powstaje bowiem pytanie: od czego zależy popyt na daną walutę? W decydującym mierze zależy od rozmiarów bieżących transakcji i związków z tym płatności zagranicznych. Jeśli np. importer francuski kupuje niemieckie towary, to musi polecić swojemu bankowi przekazanie niemieckiemu dostawcy odpowiedniej kwoty w markach (co oznacza popyt na marki i podaż franków). Podobnie postępuje importer niemiecki nabywający towary francuskie (popyt na franki rośnie, podaż marek). Jeśli w wyniku czynników, o których będzie mowa niżej, francuski eksport maleje lub wzrasta mniej niż import, wówczas popyt na obce waluty we Francji będzie większy niż zagraniczny popyt na franki; kurs franka w walutach obcych obniży

my i zmiany cen w różnych krajach?

W dłuższych okresach decydują o tym relacje: wydajności — kapitałochłonności produkcji, a na tym dopiero tle place nominalne i ceny. Pierwsze dwa czynniki odzwierciedlają postęp ekonomiczny danego kraju i możliwości wzrostu stopy życiowej ludności. Przy niezmiennym podziale dochodów między place i zyski, stałym współczynnikiem kapitałochłonności i stałym udziale wydatków publicznych w dochodach narodowych — place realne będą rosły proporcjonalnie do wydajności niezależnie od zmian poziomu cen towarów i usług konsumpcyjnych¹⁾. Wzrost cen oznaczać tylko będzie, że określony wzrost dochodów realnych nastąpi przy większym wzroście plac nominalnych.

Z punktu widzenia pracowników jest w zasadzie obojętne czy ich plac realna wzrośnie o 10 proc. przy stałym poziomie cen, czy przy wzroście plac nominalnych o 16,6 proc. oraz cen o 6 proc. Natomiast z punktu widzenia wymiany z zagranicą nie jest to obojętne, ponieważ na kursy walut wpływają właśnie zmiany cen.

Jeśli przeło w kraju A wydajność pracy przy danej kapitałochłonności wzrosła o 20 proc., zaś w kraju B tylko o 15 proc., to kraj A nie będzie w lepszej sytuacji z punktu widzenia konkurencyjności w stosunku do kraju B, jeśli w kraju A place nominalne wzrosną o 32 proc., zaś w kraju B tylko o 19 proc. W pierwszym bowiem przypadku jednostkowe koszty siły roboczej oraz ceny wzrosną o 10 proc. ($1,32:1,2 = 1,1$) w drugim zaś tylko o 3,5 proc. ($1,19:1,15 = 1,035$).

Obok tych czynników określających wewnętrzną sytuację krajów i oddziaływających pośrednio na rozmiary operacji zagranicznych i kursy walut — decydujący czynnik w znacznej mierze zewnętrzny, będący wypadkową sytuacji ekonomicznej w skali światowej. Mamy na myśli wskaźnik „terms of trade”, którego zmiany zależą od struktury importu i eksportu danego kraju oraz od różnych zmian cen poszczególnych grup towarowych na rynkach międzynarodowych.

Ponadto na kursy walut oddziałują transakcje, których ceny nie są ujmowane w ogólnych wskaźnikach cen hurtowych lub detalicznych poszczególnych krajów (usługi transportu morskiego, usługi w dziedzinie ubezpieczeń itp.) oraz saldo obrotów płatniczych w dziedzinie turystyki i różnych transferów pieniężnych, w szczególności z tytułu migracji siły roboczej. Okreśmy wszystkie tego rodzaju płatności jako transakcje nietowarowe.

Kraj, który posiada znaczne nadwyżki w zakresie transakcji nietowarowych (np. Norwegia z racji posiadania trzeciej wśród największych

flot handlowych świata, czy też Włochy posiadające stale dodatnie saldo w dziedzinie turystyki oraz znaczne wpływy od stałych i okresowych emigrantów), powinien mieć na dłuższą metę zawyżony kurs swojej waluty w stosunku do kursu wynikającego z parytetu siły nabywczej, określonego przez relacje cen krajowych do zagranicznych. Kraj taki powinien więcej importować niż eksportować, bowiem deficyt handlowy może być łatwo pokryty nadwyżkami w dziedzinie transakcji nietowarowych. Natomiast taki kraj, jak RFN, który posiada stale znaczne saldo ujemne transakcji nietowarowych (na co składa się w głównej mierze: ujemne saldo ruchu turystycznego, znaczne transfery pieniężne na rzecz rodzin robotników cudzoziemskich) musi posiadać w określonym stopniu kurs zaniżony, ponieważ towary importowane z takiego kraju powinny być na tyle tanie, aby mógł on uzyskać znaczne nadwyżki eksportu nad importem niezbędne dla pokrycia deficytów w innych pozycjach bilansu płatniczego. Rozmowa o kursach dotyczy też salda obrotów kapitałowych, jeśli takie występują w dłuższych okresach.

Mamy więc dwa rodzaje kursów równowagi: kurs równowagi bilansu handlowego i kurs równowagi bilansu płatniczego. Pierwszy będzie zarazem kursem równowagi bilansu płatniczego tylko wówczas, gdy występuje zrównoważenie płatności w dziedzinie transakcji nietowarowych. W przeciwnym przypadku kursem równowagi bilansu płatniczego musi być kurs zawyżony lub zaniżony z punktu widzenia transakcji towarowych. Natomiast kursem zaniżonym z punktu widzenia równowagi bilansu płatniczego będzie taki kurs waluty, który umożliwia danemu krajowi systematyczne gromadzenie znacznych rezerw dewizowych przekraczających potrzeby związane ze wzrostem obrotów i płatności zagranicznych. Naszym bowiem zdaniem stabilność międzynarodowego systemu walutowego może być zakłócona zarówno przez utrzymujące się dłuższy czas deficyty, jak też nadwyżki bilansów płatniczych takich krajów, które posiadają wysoko rozwiniętą gospodarkę i wszechstronne powiązania, jeśli chodzi o ich udział w handlu światowym.

Funkcjonowanie międzynarodowego systemu walutowego zależy więc od poczyną zespółu krajów o najwyższym potencjale ekonomicznym. Wpływ wielkich producentów ropy naftowej na sytuację gospodarczą i walutową wysoko rozwiniętych krajów, kapitalistycznych jest bodajże pierwszym wyjątkiem, jaki zna współczesna historia gospodarcza świata.

Omawiając problem kursów walutowych należy mieć na uwadze fakt, że kursy równowagi bilansu płatniczego występują w rzeczywistości tylko w przybliżeniu, ponie-

waż zmiany kursów (nawet kursów płynnych) nie mogą nadążać dostatecznie szybko za zmianami cen czy też szerzej ujmując — za zmianami salda bilansów płatniczych poszczególnych krajów. Często nie ma zresztą takiej potrzeby, jeśli przejściowe deficyty lub nadwyżki równoważone są odpowiednimi operacjami kredytowymi. Ponadto niektóre kraje uprawiają taką politykę gospodarczą i walutową, która sprzyjała uzyskiwaniu przez wiele lat znacznych nadwyżek bilansu płatniczego.

Dodać wreszcie należy, że rozważania nasze dotyczą wymiany między krajami nie stosującymi ograniczeń (lub tylko wyjątkowo i na niewielką skalę) w dziedzinie obrotów handlowych i dewizowych²⁾. Takie stosunki występują w zasadzie między wysoko rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi, które decydują o funkcjonowaniu międzynarodowego systemu walutowego.

Przyjrzyjmy się teraz wskaźnikom przedstawionym w załączonej tabeli. Przy obliczaniu wydajności pracy i kapitałochłonności wzięliśmy za podstawę dochód narodowy brutto obejmujący sferę produkcji materialnej oraz wytwarzanie usług niematerialnych. Podane w tabeli wskaźniki „kapitałochłonności” reprezentują w rzeczywistości inwestycje netto przyrostu dochodu narodowego; zostały bowiem obliczone na podstawie relacji między tempem przyrostu inwestycji i dochodu narodowego. Nie dysponujemy bowiem danymi dotyczącymi majątku trwałego w cenach stałych. Wobec braku kompletnych danych dla lat 1972—1974, przeprowadziliśmy obliczenia za okres 1961—1971, tj. 11 lat. Jednakże podane wskaźniki zezwalają na ocenę stosunków walutowych nawet do 1973 r., ponieważ kursy walut zmieniają się z reguły z opóźnieniem w stosunku do przyczyn powodujących te zmiany³⁾.

Srednie roczne tempo wzrostu wydajności pracy, plac nominalnych, cen detalicznych i terms of trade oraz wskaźniki „kapitałochłonności” i zmian kursów walut w latach 1961—1971.

WYSZCZEGÓLNIENIE	Stany Zjednoczone	Japonia	Francja	RFN	Wielka Brytania
1. Ogólnospołeczna wydajność pracy	2,76	9,38	4,94	4,67	2,41
2. „Kapitałochłonność”	1,01	1,34	1,32	1,16	1,7
3. Przeliczna wydajność pracy poza rolnictwem i leśnictwem	2,39	7,60	4,24	4,06	2,41
4. Place nominalne poza rolnictwem i leśnictwem	3,68	10,72	8,3	8,54	6,9
5. Relacje: place — wydajność (4:3)	1,54	1,41	1,96	2,1	2,88
6. Ceny detaliczne, towarów i usług konsumpcyjnych	2,96	5,66	4,34	2,76	4,82
7. Terms of trade	- 0,1	+ 2,12	+ 0,86	+ 1,81	+ 0,63
8. Dewaluacja (-) lub rewaluacja (+) waluty danego kraju do końca roku:					
— 1971	- 7,89	+ 7,66	- 11,11	+ 14,33	- 14,29
— 1973	- 17,11	+ 7,66	- 11,11	+ 24,23	- 14,29

za granicą piszą

CO SIĘ DZIEJE Z DOLAREM?

Amerykański miesięcznik **FORTUNE** zamieścił artykuł Sanforda Rose „How to think about the dollar” — analizujący obecną pozycję dolara i perspektywy jej zmiany. W artykule tym czytamy m. in.:

Wszyscy eksperci walutowi uważają, że dolar jest jednym z najbardziej prawdopodobnych kandydatów do szybkiego wzrostu kursu. A przecież spadkowa tendencja kursu dolara dopiero zaczyna ulegać odwróceniu, przy czym poprzedni spadek sprawiał wrażenie zjawiska absolutnie nieuchronnego.

To chronienie niedomaganie dolara stanowiło dla wielu ludzi zagadkę, a jednocześnie źródło trosk. Dowodzone, że w ostatecznym rachunku tzw. czynniki podstawowe powinny działać na rzecz wzrostu wartości dolara: bilans handlowy USA uległ w ciągu ostatniego półtora roku zdecydowanej poprawie, amerykańskie tempo inflacji spadło. Dlaczego więc nie doszło do ponownego poważniejszego wzrostu kursu dolara?

Niektórzy skłonni są uważać, iż dopuszczenie do spadku kursu dolara jest zasadniczym biorąc przejawem braku patriotyzmu. Niewątpliwie pamiętają oni o tym, jak inne kraje traktowały dewaluację jako ogólnonarodową hańbę powodującą upadek rządu lub przynajmniej dymisję ministra finansów.

Ale jest też dużo bardziej realny powód do zmartwień: słabość dolara przyczynia się do wzrostu w USA inflacji. Przede wszystkim słabość ta powoduje wzrost cen, jakie Amerykanie muszą płać za towary importowane. A kiedy ceny towarów importowanych rosną, niektórzy Amerykanie przeczucują się na różne produkty zastępcze wytwarzane w kraju i spowodowany tym wzrost popytu na te produkty stwarza z

kolei tendencję do wzrostu cen również i tych produktów. Do wzrostu inflacji przyczynia się również i to, że spadek kursu dolara obniża efektywną cenę jaką cudzoziemcy muszą płać za towary eksportowane przez USA. Zagraniczny popyt na te towary wzrasta i ich amerykańscy producenci mogą sobie pozwolić na pewno na podwyżkę cen bez obawy, że tracąc w rezultacie klientów. Jednak chociaż niski kurs dolara powoduje wzrost cen i w pewnych granicach przynosi szkodę konsumentom, to jednocześnie przyczynia się on do poprawy sytuacji producentów i zatrudnionych przez nich pracowników, ponieważ pobudza eksport i w ten sposób zwiększa zatrudnienie.

★

W końcu lat sześćdziesiątych dolar był wyraźnie zbyt drogi, co oznaczało, że USA faworyzowały import kosztem eksportu i faworyzowały konsumentów kosztem producentów. Ale w owym czasie poziom bezrobocia był niski, a tempo inflacji zaczynało wzrastać. Zawyżony kurs dolara obniżał ceny towarów importowanych, a jednocześnie powodował pojawienie się pewnych nadmiarów siły roboczej w gałęziach gospodarki pracujących na eksport lub konkurujących z eksportem. Tak więc ten zawyżony kurs przyczyniał się (choć — jak się okazało — niedostatecznie) do hamowania tempa inflacji i do łagodzenia nacisku na moce produkcyjne USA.

Natomiast w obecnej sytuacji gospodarczej charakteryzującej się wysokim poziomem bezrobocia — właśnie zaniżony kurs dolara działający na rzecz zwiększenia zatrudnienia może odpowiadać naszym potrzebom. Tak sporadyczne próby podtrzymywania kursu dolara mogą się okazać działaniem zupełnie bezsensownym.

Próby takie mogą też zakłócić przebieg naturalnych procesów przystosowawczych przebiegających w gospodarce światowej. Dopóki kurs dolara spada, dopóty inne kraje wchłaniają tanie towary amerykańskie, mimo iż same muszą się borykać ze problemami bezrobocia.

Nie ulega bowiem kwestii, że słabość dolara przyczynia się do bezprecedensowego boomu amerykańskiego eksportu w ciągu ostatnich paru lat. Zaledwie przed paru laty wiele podstawowych gałęzi gospodarki, takich jak np. przemysł stalowniczy, bardzo silnie odczuwało konkurencję zagranicy i menadżerowie tych gałęzi głośno zastanawiali się nad zdolnością tych gałęzi do utrzymania się przy życiu. Amerykański import wzrastał wówczas szybko, niż eksport. Ostatni wzrost popytu na amerykańskie towary przemysłowe należał w znacznej mierze przypisać ogólnoswiatowemu boomowi gospodarczemu, ale dużą rolę odegrała tu też obniżka kursu dolara. Nie też dziwne, że bardzo wielu dyrektorów przedsiębiorstw amerykańskich zapatrzuje się obecnie dużo optymistycznie niż przedtem na możliwości konkurencyjności z producentami zagranicznymi.

Dlaczego jednak po wyraźnej poprawie bilansu handlowego dolar przez tak długi okres wciąż słabuje? Handel nie jest tu jedynym czynnikiem. Jak się okazało podniesienie cen nafty na wartość dolara wpłynęło także.

W miarę tego, jak kraje importujące naftę zwiększały swe płatności na rzecz jej producentów i wycoperowały swe gotówkowe zasoby, zmniejszały konsumpcję i przyspłyły do wyprzedaży papierów wartościowych, co w rezultacie otworzyło bankom amerykańskim możliwości zyskowych operacji pożyczkowych za granicą. Jednocześnie rządy państw szczególnie silnie pragnących uniknąć spadku kursu swego pieniądza zmuszały przedsiębiorstwa do zaciągania za granicą ogromnych pożyczek, co miało neutralizować ujemny wpływ płatności naftowych na ogólny bilans płatniczy tych krajów. W rezultacie banki amerykańskie przeżyły w 1974 r. prawdziwą orgię zagranicznych pożyczek. Wszystko to znacznie zwiększyło

zdyło podaż dolarów na zagranicznych giełdach walutowych i gwałtownie obniżyło kurs dolara. W końcu jednak proces ten musiał ulec osłabieniu w miarę tego, jak inne kraje odbudowywały swe zasoby środków płynnych i różnice w stopie oprocentowania ulegały zmniejszeniu. Stąd też w pierwszym kwartale br. zagraniczne pożyczki udzielane przez banki amerykańskie znacznie się zmniejszyły.

Równocześnie w ostatnich miesiącach poszczególne kraje zaczęły być zainteresowane w obniżeniu kursu swej waluty, celem pobudzenia w ten sposób eksportu i, co za tym idzie, wzrostu zatrudnienia. W ten sposób zmiana w układzie priorytetów gospodarczych spowodowała w ostatecznym rozrachunku wzrost popytu na dolary, co w ciągu najbliższych kilku miesięcy może się przyczynić do wzmocnienia pozycji dolara.

★

Przyszły układ kursu dolara zależy będzie między innymi od tego, co stanie się z bilansem płatniczym USA po zakończeniu recesji. W miarę poprawy koniunktury zakończy się spadek i rozpocznie się wzrost krótkoterminowej stopy oprocentowania, co powinno wpłynąć hamująco na odpływ kapitałów i być może nawet spowodować znaczny napływ netto kapitałów. Ale chociaż produkcja będzie wzrastać, bezrobocie może przez pewien czas nadal się zwiększać i w rezultacie wzrośnie też wydajność pracy, a jest to czynnik wpływający hamująco na inflację. Więc dopóki stopa bezrobocia będzie utrzymywała się na wysokim poziomie i dopóki nie wystąpi gwałtowniejszy wzrost cen, amerykański import może się wcale tak bardzo nie zwiększyć.

Pozostałości światowej recesji przyczyniają się też do pewnego spadku amerykańskiego eksportu do krajów uprzemysłowionych. Ale popyt ze strony Europy na amerykańskie dobra inwestycyjne utrzymać się na zdumiewająco wysokim poziomie. W sumie biorąc, nawet już po uwzględnieniu rachunku za import nafty, bilans handlowy USA może się w 1975 r. zamknąć niewielką nadwyżką. Wraz z dochodami z inwesty-

cji amerykańskich i z przewidywanym napływem kapitałów — powinno to zapewnić względnie dobry wygląd ogólnemu bilansowi płatniczemu Stanów Zjednoczonych. I w nadchodzącym roku kurs dolara powinien systematycznie wzrastać.

Wielu Europejczyków przewiduje, że nadal będzie trwało umacnianie się pozycji dolara, jakie wystąpiło w ostatnim okresie. Dali się w końcu przekonać, że kurs dolara jest zbyt niski i obecnie lokują oni znaczne sumy w akcjach przedsiębiorstw amerykańskich, by w ten sposób za jednym zamachem zgarnąć zyski z dalszego wzrostu kursów tych akcji i ze wzrostu kursu dolara. Również europejskie firmy dokonujące bezpośrednich inwestycji w USA spieszą się z nabywaniem zakładów produkcyjnych w Stanach Zjednoczonych. Dokonując zakupu już teraz firmy te osiagają podwójny zysk: płać one za nabywane aktywa — w przeliczeniu na ich własną walutę — taniej i po drugie, w związku z umacnianiem się pozycji dolara, wzrasta także równowartość w ich własnej walucie dywidend uzyskiwanych w USA.

Na dłuższą metę względna wartość dolara zależy będzie od kierunku polityki pieniądza w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach. W świecie sprzed 1971 r., tj. w warunkach stałych kursów walut, dolary eksportowane przez USA w charakterze zapłaty za importowane produkty zagraniczne przyczyniały się na ogół do nadmiernego rozszerzenia dopływu pieniądza do gospodarki krajów dolary te otrzymujących. Ponieważ kraje te zmuszone były broń parytetu swej waluty, musiały nabywać dolary i zwiększać bazę rezerw swego systemu bankowego. Tak więc rozrzucona polityka pieniądza USA dostarczała paliwa dla światowej inflacji, podczas gdy dolar zachowywał sztucznie silną pozycję.

W warunkach całkowitej elastyczności kursów wymiany walut Stany Zjednoczone nie mogłyby eksportować inflacji. Gdyby popyt USA na produkty zagraniczne był wyższy od zagranicznego popytu na produkty USA, nie dochodziłoby do odpływu dolarów za granicę. Zagraniczne banki centralne nie musiałyby już

Z przedstawionych danych można wyciągnąć łatwo wnioski dotyczące związku między podstawowymi wskaźnikami działalności gospodarczej poszczególnych krajów, a zmianami kursów ich walut. Widzimy wyraźnie, że w najlepszej sytuacji znalazły się dwa kraje: Japonia i RFN. Posiadają one najkorzystniejszy układ dwóch wskaźników: ogólnospołecznej wydajności pracy i kapitałochłonności (Francja posiada wskaźnik wzrostu wydajności pracy, ale dużo gorszy wskaźnik kapitałochłonności), a jednocześnie najkorzystniejszą zmianę wskaźnika „terms of trade”. W zdecydowanie najgorszej sytuacji znalazła się Wielka Brytania (najniższy wskaźnik wydajności pracy, a najwyższe wskaźniki kapitałochłonności i wskaźnik opłacenia wydajności pracy). W dość dobrej sytuacji widzimy Francję, w słabszej — Stany Zjednoczone. Spośród wymienionych krajów tylko RFN wykazywała trwałe deficyty w zakresie transakcji nietowarowych.

Uwzględniając powyższe uwagi widać wyraźnie, że wskaźniki dewaluacji lub rewaluacji poszczególnych walut wykazują znaczną korelację z efektywnością działalności gospodarczej poszczególnych krajów.

1) Pomijamy tu inne czynniki, jak wykorzystanie przez Francję nagromadzonych rezerw, zaciąganie kredytów na nabywanie obcych walut itp.
2) Również inne czynniki mają znaczenie, jak powszechnie znana marka danych towarów, warunki dostaw itp.
3) Pod warunkiem, że zmiany te nie wpływają na podział dochodów między place i zyski — co założyliśmy na wstępie.
4) Stąd też używane przez nas określenie: kurs zawyżony — nie ma nic wspólnego z używanym niekiedy pojęciem kursu zawyżonego, żądającego przy stosowaniu reglamentacji dewizowej.
5) Należy przy tym pamiętać, że w rozpatrywanym okresie wymienione kraje nie stosowały jeszcze kursów płynnych.

(S)

MIĘDZYNARODOWE PROBLEMY ZARZĄDZANIA

MICHAŁ
MALICKI

NA XXIX sesji Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej powzięto decyzję o zorganizowaniu przez kraje RWPG międzynarodowego instytutu naukowo-badawczego, zajmującego się problemami zarządzania i polecono komitetowi RWPG do spraw współpracy naukowo-technicznej przygotowanie propozycji związanych z organizacją tego instytutu.

Realizacja tej decyzji zamknąć ma okres, w którym próby usprawnienia systemu zarządzania podejmowane były przede wszystkim w oparciu o własne doświadczenia i własne koncepcje poszczególnych krajów RWPG. Wprawdzie istniała również w tej dziedzinie dwu- czy wielostronna wymiana doświadczeń, ale wymiana taka nie może zastąpić formy stałej, uporządkowanej, międzynarodowej współpracy, popartej statystyką i badaniami naukowymi. Doświadczenia minionych lat doprowadziły — jak się okazuje — do wspólnych wniosków, z których wynika, że:

- Wysiłki poszczególnych krajów członkowskich RWPG, zmierzające do usprawnienia systemów zarządzania, nie są już wystarczające i należy stworzyć warunki pozwalające na lepsze ich wykorzystanie przez współdziałanie wszystkich zainteresowanych krajów.

- Proces doskonalenia systemu zarządzania ma charakter trwały i jest na tyle poważny, że wymaga rozwiązań instytucjonalnych.

Trudno byłoby a priori zakładać, że sam fakt utworzenia instytutu daje gwarancję ustalenia już w niedalekiej przyszłości modelu gospodarowania działającego w sposób doskonały. Wiemy z praktyki, że kolejno wprowadzane usprawnienia, pomimo korzystnych wyników, ujawniają z reguły nowe problemy, wymagające uregulowania. Tak wynika z dotychczasowych naszych własnych doświadczeń, jak również z doświadczeń innych krajów socjalistycznych. Nowe rozwiązanie stwarza jednak perspektywę przyspieszenia i pogłębienia procesów ewolucyjnych zarządzania i planowania oraz uzyskiwania związanych z tym korzyści.

Wydaje się, że w polu zainteresowania utworzonego instytutu znaleźć powinny się zwłaszcza sprawy:

- gromadzenia informacji z zakresu systemów zarządzania stosowanych w krajach socjalistycznych i w innych krajach wysoko uprzemysłowionych;

- upowszechniania najbardziej efektywnych rozwiązań oraz tworzenia koncepcji nowych, bardziej efektywnych rozwiązań, odcinkowej ich weryfikacji w praktyce i następnie — po uzyskaniu pozytywnych doświadczeń — upowszechniania.

Przyszłe pole obserwacyjne wydaje się przy tym bardzo szerokie. Obejmować powinno nie tylko elementy systemu zarządzania dające efekty korzystne, stwierdzone doświadczalnie (które w związku z tym należałoby upowszechniać), lub założone, lecz również takie, które przyniosą nie budzące wątpliwości negatywne skutki i które należałoby eliminować z istniejących lub zakładanych w przyszłości rozwiązań. Ta druga dziedzina być może nawet przeważać będzie w pierwszym okresie działalności nowej placówki. Stwierdzone bowiem niedogodności istniejących systemów zarządzania są już dość dobrze znane i być może między innymi one przyczyniły się do podjęcia decyzji w sprawie powołania instytutu.

Każdy z zainteresowanych krajów socjalistycznych ma w tej dziedzinie własne doświadczenia i spostrzeżenia, które stanowiące powinny swego rodzaju „kapitał zakładowy” dalszego programu działania.

Typowym przykładem problemu, który może być i zapewne będzie przedmiotem prac instytutu, jest sprawa planu gospodarczego. W związku z tym, że dobrze jest widzieliśmy przekraczanie zadań planowych (prawdopodobnie nie tylko u nas, lecz również w innych krajach socjalistycznych), a z przekroczeniem zadań planowych wiąże się często system premiowania — zainteresowania wszystkich jednostek gospodarujących zwrócone zostały w kierunku zapewnienia sobie możliwości wykonania i przekroczenia tych zadań.

Próby rozwiązywania tego problemu podjęte zostały między innymi na Węgrzech. Ostatnia reforma systemu planowania wprowadziła tam zasadę, której istota sprowadza się do tego, że każdy szczebel planowania ustala sam dla siebie zadania planowe i obowiązany jest do podejmowania środków zapewniających ich wykonanie. Formuła taka w intencji swej miała przeciwdziałać tendencjom do ustalania planów łatwych w realizacji, a jej praktyczny sens sprowadza się do tego, że zadania ustalone przez ministerstwa nie muszą pokrywać się z zadaniami ustalonymi w narodowym planie gospodarczym. Jednakże Komisja Planowania powinna podejmować środki zapewniające pełną realizację zadań planu centralnego. Podobnie

przedstawia się stosunek planów resortów gospodarczych do planów jednostek podległych, z przedsiębiorstwami włącznie.

U nas w jednostkach stosujących nowe zasady ekonomiczne system nagród i premii powiązany został nie z wykonaniem i przekroczeniem planu, lecz z wynikami licznymi w stosunku do tzw. „bazy”. Doświadczenia tego systemu są jeszcze bardzo świeże, w związku z czym nie można stwierdzić, czy z punktu widzenia potrzeb planu centralnego uzyskano wyniki w pełni zadowalające i czy nadal obserwuje się zainteresowanie uzyskaniem zadań planowych łatwych do wykonania i przekroczenia.

W świetle dotychczasowych doświadczeń jednostek inicjujących oraz analizy działalności gospodarczej wszystkich pozostałych przedsiębiorstw wydaje się jednak wskazane oderwanie systemów premiowania od wykonania i przekraczania zadań planowych, uzależnienie natomiast od uzyskiwanych wyników czy poprawy wyników wyrażanych w miernikach o charakterze syntetycznym. Opracowanie formuły takiego miernika jest sprawą otwartą, a dotychczasowe próby na tym odcinku nie mogą być chyba uznane za zakończone.

Podkreślić trzeba, że rozluźnienie związku premiowania ze stopniem wykonania i przekroczenia zadań planowych prawdopodobnie nie obniżyłoby ich rangi w ogólnym systemie zarządzania. Wykonanie zadań planowych jest bowiem i pozostanie nadal sprawą ambicji zawodowych kierowników przedsiębiorstw oraz nadzorujących je jednostek, jest problemem kolektywnej ambicji zawodowej pracowników poszczególnych przedsiębiorstw, która w wielu przypadkach może działać mocniej, niż w rzeczywistości. Jest to jednakże nie jedynym z kryteriów oceny kwalifikacji zawodowych. W związku z tym obawiać się można, że nawet w przypadku ogólnego oderwania systemów premiowania od wykonania i przekroczenia zadań planowych pozostanie jeszcze przez długi czas tendencja do ustalania nie nabytych trudnych zadań planowych. Z tego więc względu upowszechnienie doświadczeń jednostek inicjujących, w zakresie rozluźnienia dotychczasowych związków pomiędzy planem a nagrodami i premiami wydaje się możliwe. Pozostaje naturalnie do rozstrzygnięcia sprawa ustalenia nie budzącego wątpliwości punktu odniesienia wysokości nagród i premii należnych przedsiębiorstwom, zjednoczeniom, ministerstwom.

Problem napięcia zadań planowych oraz określenie właściwości rozmiarów środków pozwalających na ich wykonanie, jest tylko jednym z fragmentów bardzo obszernego zakresu zagadnień dotyczących możliwości i potrzeby usprawnienia systemów zarządzania. Skomplikowane i niezmiennie istotne dla gospodarowania sprawy: inwestycji, postępu technicznego, zatrudnienia, plac, kosztów, handlu zagranicznego, handlu wewnętrznego, gospodarki materiałowej, równowagi wewnętrznej (rynkowej, zaopatrzeniowej, budżetowej), równowagi bilansu płatniczego, cen i wielu innych — należałoby również dokładnie rozpatrzyć z tego punktu widzenia.

Nasuwa się, naturalnie, pytanie, czy niezależnie od szczegółowych przejawów niesprawnego — czy ściślej mówiąc — nie w pełni sprawnego zarządzania w wymienianych poprzednio grupach problemowych, nie można sprecyzować pewnych zjawisk ujemnych natury ogólnej, wszędzie występujących, zasługujących na uwagę i na baczniejszą uwagę. Byłoby to rzecz użyteczna, zwłaszcza we wstępnym etapie przygotowań do utworzenia wspomnianego międzynarodowego instytutu. Wyjaśnienie tych spraw już teraz pozwoliłoby na odpowiednie ukierunkowanie prac późniejszych, ułatwiłoby też poszukiwanie usprawnień systemu gospodarki planowej o charakterze generalnym, jak również niektórych rozwiązań szczegółowych.

Wydaje się, że w ogólnej problematyce systemu zarządzania sprawa podstawowa, lecz równocześnie najtrudniejsza do osiągnięcia byłaby pełna integracja celów, zainteresowań i metod działania tzw. centralnego planisty, jednostek gospodarki uspołecznionej wszystkich szczebli oraz pracowników. W chwili obecnej nie uzyskaliśmy jeszcze zgodności tych celów, zainteresowań i metod działania — są one w pewnych przypadkach odmiennie pojmowane i realizowane w ujęciu i w skali makroekonomicznej, w poszczególnych ministerstwach, zjednoczeniach i przedsiębiorstwach. Można oczywiście mieć wątpliwości, czy pełna integracja celów i metod działania jest w ogóle osiągalna. Pewne jest jednak, że obserwowane aktualnie rozbieżności można albo wyeliminować, albo co najmniej osłabić — a skromny nawet postęp w tej dziedzinie może mieć ogromne znaczenie dla gospodarki narodowej poszczególnych krajów.



Fot. A. OLSZEWSKI

TAM GDZIE ROSNĄ „ŚWIĘTE GÓRY”

Korespondencja własna z Mongolii

JERZY DZIECIOŁOWSKI

MONGOLIA jest sporo większa od łącznej wielkości europejskich krajów socjalistycznych i ma tyle mieszkańców co... Warszawa. Pod względem obszaru jest mocarstwem, pod względem gęstości zaludnienia zajmuje ostatnie miejsce w świecie. Blisko połowa obszaru Mongolii znajduje się na wysokości Śnieżki, lub niewiele niżej. W kotlinach górskich w zimie temperatura dochodzi do minus 50°C, w lecie na pustyni Gobi termometry notują ponad 40°C ciepła. Różnica temperatur w ciągu doby potrafią sięgać 30°C, często tego samego dnia jest słońce i ciepło, i pada śnieg.

Dorzecze najbardziej wodonośnej rzeki Mongolii — Selengi w północnej części kraju obejmuje prawie taki obszar jak Polska, z drugiej strony kilka rzek spływających z Altaju w kierunku Azji Centralnej dosłownie ginie w pulchnych pokładach dolin. W Mongolii przez 300 dni w roku niebo jest nieskalanie błękitne, stepowe orły ze zdziwieniem i bez strachu przylgają się przeleżającemu samochodowi, a na jednego mieszkańca przypada 1360 m sześć. drewna, tj. więcej niż w jakimkolwiek kraju na świecie. Warunki geograficzne w połączeniu z małą liczbą mieszkańców Mongolii stanowią te czynniki, które szczególnie silnie wpływają na rozwój gospodarki kraju.

— Węgiel do elektrowni w Darhanie (drugie miasto Mongolii, około 40 tys. mieszkańców) — informuje jej 30-letni dyrektor — przywozi się ze złoża odległego o 40 km. Nie mamy żadnych kłopotów z surowcami, jeśli nie brać pod uwagę ograniczonych możliwości ich eksploatacji...

— Proszę bardzo — wtrąca stojący obok dyrektora kierownik wydziału przemysłu KC mongolskiej partii C. Gurbadam — przyjeżdżajcie i budujcie kopalnię. W njmaku (odpowiednik województwa) — Dalań Dzadagad leży, opisane i zlokalizowane przez geologów, 3 mld ton węgla koksującego.

ZASOBY NATURY

Na podstawie przeprowadzonych badań i biorąc pod uwagę wyniki trwających poszukiwań uważa się, że ziemia Mongolii kryje bogactwa, które w tej części świata można porównywać z naturalnymi zasobami Chin: złoto i fluoryty, rudy żelaza i metali kolorowych, ropa naftowa i praktycznie nieograniczone ilości materiałów budowlanych.

Polityka, jaką przyjęło państwo w celu wykorzystania bogactw naturalnych, a mianowicie — skupienie środków i zasobów materialnych na najbardziej rozwojowych z ekonomicznego punktu widzenia rejonach i na przemysłowo ciekawych złożach, wydaje się jedyną możliwą do przyjęcia w warunkach Mongolii.

W myśl tej zasady na zachód od Darhanu, który stanowi główne obok stolicy centrum przemysłowe Mongolii, rozpoczęto budowę kompleksu obiektów dla eksploatacji bogatych złóż moliibdenu. W budowę kombinatu w Rdent zaangażował kapitały, ludzi i sprzęt Związek Radziecki. Przy całej koncentracji środków sama Mongolia nie da sobie rady z eksploatacją bogactw naturalnych. Podkreśla się to w Ulan Bator przy różnych okazjach. Nie jest to tylko proste stwierdzenie faktu. W epoce, kiedy dziesiątki krajów gwałtownie rozgląda się za surowcami, ten je zdobyć, kto z większą wyobraźnią ustosunkuje się do tendencji, jakim podlega obecnie światowa gospodarka.

Światło elektryczne w jurtach — której postawienie wymaga półtorej godziny pracy i w których w stolicy żyje jeszcze 30 proc. mieszkańców — zaskakuje i wydaje się czymś nie-rzeczywistym. Jeszcze bardziej jednak dziwi, kiedy dowiaduje się, że obiekt mocy natychmiast otrzymać potrzebną mu energię. Potencjalne możliwości rozwoju Mongolii choćby tylko z tytułu posiadanych bogactw naturalnych i źródeł energii są praktycznie trudne do określenia. A przecież w kraju tym są również gospodarce zupełnie nie wykorzystane tak cenne dziś dobra, jak kryształowe powietrze, czyste rybne

rzeźki, cedrowe i modrzewiowe lasy, rozległe tereny łowieckie. Jest rzeczą nader charakterystyczną, że dziennikarze z gazet moskiewskich, którzy nie pracują w końcu w kraju pozbawionym dziewiczej przyrody, patrząc na dymiące kominami cementowni w Darhanie zwracali uwagę, że bogactwo w postaci lazuruwego nieba i przejrzystych wód trzeba sobie cenić, bo łatwo je zniszczyć.

Przez ponad 200 lat, aż do 1911 roku Mongolia okupowana była przez Mandżurów. Miłośnicy panująca w Chinach dynastia Ts'ing eksploatowała Mongolię i jej mieszkańców ile się dało. W trudnych latach zaborowa, ludność Mongolii, broniąc swych pastwisk i terenów łowieckich przed chciwością zaborców, czyniła poszczególne wzgórza miejscami kultu religijnego. Jako „święte” były nie tylko one. Współczesne poszukiwania geologiczne dowiodły, że z reguły w „świętych górach” znajdują się kopaliny lub surowce mineralne. Bogactwa natury ochronione przez prostych ludzi dzięki ich „ludowej mądrości” służą zaczynając dziś tymże prostym ludziom. Jest w tym dziełowa sprawiedliwość.

ZWYKŁE ŻYCIE

Przeciętny mieszkaniec Ulan Bator lubi kumys, ale już zapytany, gdzie wolałby mieszkać, w jurcie czy w normalnym budynku — wybiera to drugie. Bardzo też swoją brzmie uwagę któregoś z działaczy gospodarczych towarzyszących nam w podróży po Mongolii, który uznaje budownictwo mieszkaniowe za kwestię o zasadniczym znaczeniu dla rozwoju kraju. Szesnastoletnia dziewczyna z Darhanu zagadnięta, co będzie robić po skończeniu szkoły, uznaje za rzecz normalną pójście do pracy w kombinacie skórzanym i zamieszkanie w mieście. Zwroćmy uwagę, że dzieje się to w kraju, w którym jeszcze 50 lat temu uprawę ziemi traktowało się jako ciężką karę.

Czynsz za mieszkanie jest niski tylko w lecie. Wynosi 1 tugrik dziennie (1 tugrik równa się około 4 zł). Ale lato w Mongolii trwa krótko. Przez większą część roku trzeba płać 4 tugriki. Dziennie na wyżywienie wydaje się 12—13 tugrików, tak więc mieszkanie w warunkach miejskich nie jest mało kosztowne. Szacunkowo w kombinacie skórzanym może zarobić 400—500 tugrików miesięcznie. Zróżnicowanie w poborach szeregowych pracowników i kierownictwa zakładów jest niewielkie. Dyrektory elektrowni, fabryki silników czy wytwórni dywanów otrzymują podobne wynagrodzenie na poziomie 800 tugrików. Pobory fachowców i techników zagranicznych są dużo wyższe.

Obywateł Mongolii ma trudności z wydaniem zarobionych pieniędzy na artykuły trwałego użytku, obuwie o europejskich fasonach czy niemające koszuł, bo większość tych artykułów nie wytwarza się w kraju i trzeba je sprowadzać z zagranicy. Równocześnie jeden mieszkaniec Mongolii spożywa średnio 105 kg mięsa w roku, i co by się mówiło o podsytych tradycjach sposobach odżywiania się, Mongolów, jest to więcej niż w najbogatszych krajach świata. Prawda, że zróżnicowanie tego mięsnego menu jest niewielkie, prawda że w Mongolii nie rodują się gruszek czy owoce cytrusowe, że pomidory nie są dorodne, a brak wilgoci sprawia, że 18 kwintali pszenicy z hektara osiąga się

tylko we wzorowych gospodarstwach rolnych. Faktem jednak jest, że białka zwierzęcego mieszkańcom Mongolii nie brakuje.

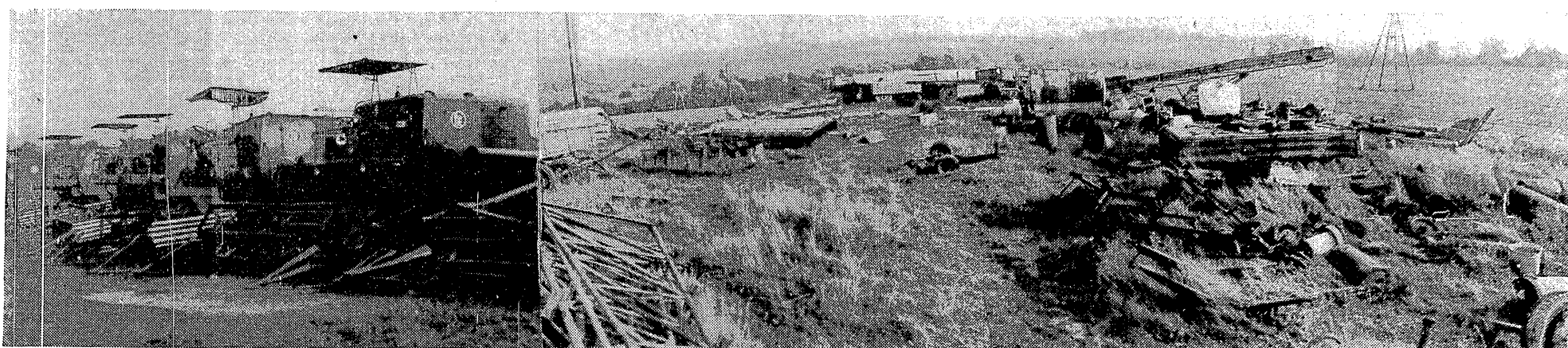
Ulice miast mongolskich nie szokują reklamami, ale też nie rażą ubóstwem. W największym domu towarowym Ulan Bator mongolskie eleganci kupują wzorzystą tkaninę na świąteczny strój. Na poczęcie przy niskich stólkach siedzą dzieci i pełne skupienia piszą listy. Na stadionie grupa dziewcząt ćwiczy elementy pokazu gimnastycznego. Mieszkańcy przedmieścia czekają na przystanku na swój autobus. Jest zwyczajnie. D. Surenzaw, dziennikarz mongolski mówi, że w życiu kraju jest teraz spokój. „Nasze działania nie są wolne od trosk, ale podejmujemy je spokojnie ufając, że gdy będzie trzeba uzyskamy pomoc krajów socjalistycznych”.

POLSKA — MONGOLIA

Bez pomocy krajów RWPG gospodarka Mongolii nie byłaby tym, czym jest w tej chwili. Bez radzieckich kombinatów i traktorów mechanizacja rolnictwa byłaby w powijkach. Transport towarów drogami odbywa się na ciężarówkach marki „ZiP”. W elektrowniach pracują turbogeneratory made in ZSRR. Czechosłowacja wybudowała Mongolii cementownię, Bułgaria — kombinat skórzanym, w fabryce dywanów pracują maszyniści z NRD, mięso przerabia się w zakładach zbudowanych przez Węgry, domy stawia się z cegły wypalanej w zakładach silikatowych, oddawanych „pod klucz” przez Polskę. Lista zbudowanych przez kraje RWPG obiektów jest długa. W Mongolii często i bez skrupowania mówi się o tej pomocy i jej rozmiarach. Wynika to, jak sądzić, z faktu, że wiedząc z jednej strony, co Mongolia zawdzięcza pomocy technicznej i materialnej krajów RWPG, ma się z drugiej strony świadomość, co już obecnie Mongolia daje, a w przyszłości będzie mogła dawać, pomagającym w jej rozwoju krajom.

W 1974 roku na Mongolię przyjechało 0,1 proc. obrotów towarowych Polski z krajami RWPG. Nie był to z pewnością poziom odpowiadający wzajemnym możliwościom. Eksportowaliśmy z Mongolii urządzenia i części zamienne dla zakładów przetwórstwa drewna, cegieł, elektrowni i stacji remontowych. Przywoziliśmy skóry zwierzęce, galanterię skórzaną, wełnę, przetworzone mięso. Łatwiej o towary dla Mongolii niż o znalezienie ich w Mongolii dla nas, co sprawia, że wymiana jest mało stabilizowana. Inwestując w budowę fabryki silikatów czy stolarki budowlanej zbyt mało uwagi poświęciliśmy faktowi, że dostaw obrabiarek czy części zamiennych nie będzie można spłacać cęgą i ramami okiennymi wyprodukowanymi w Mongolii. Dużo łatwiej stronie mongolskiej spłacać kredyty kożuchami, dywanami i mięsem, tj. towarami z tych dziedzin produkcji, w które za-inwestowali Bułgarzy, Niemcy, Węgrzy.

Aktywizacja obrotów z Mongolską Republiką Ludową wymaga szerszego zainteresowania mongolskimi towarami polskich producentów (zwłaszcza w branży skórzanym i mięsnej — w tym ostatnim przypadku chodzi również o to, by z przepisów sanitarno-epidemiologicznych nie czynić dogmatu, który wyklucza jakiegokolwiek operacje handlowe). Będzie to z korzyścią dla aktualnych obrotów i nie ograniczy możliwości na przyszłość.



Park maszynowy PGR Smokowo k. Kętrzyna — od frontu i od tyłu...

Fot. S. ZUBCZEWSKI

prasa

Dyskusja w sprawach budownictwa mieszkaniowego była na łamach prasy tak bogata, że trudno tu już powiedzieć coś nowego. Niemniej jednak fakt, że problem społeczny istnieje nadal i że w hierarchii potrzeb mieszkania windują się na coraz wyższe miejsce. Stąd ciągle aktualne jest pytanie: co zrobić, żeby można było zwiększyć rozmiary budownictwa ponad planowaną ilość 1525 tys. mieszkań (w latach 1976—1980)?

MAREK CHMIELEWSKI w artykule pt. „MIESZKANIOWE NADZIEJE I NIEPOKOJE” („TYGODNIK DEMOKRATYCZNY”) cytując wypowiedź Edwarda Gierka na spotkaniu w Sosnowcu, w której I sekretarz wyraził poparcie dla korekty planu w górę, stwierdzając, że korekta taka zależy od efektów naszej pracy. Za tym ogólnym określeniem kryją się pewne konkretne możliwości.

Warto do nich jeszcze raz wrócić.

Przed wszystkim — potrzebujemy więcej materiałów budowlanych (głównie cementu) i wykończeniowych. Możliwości produkcyjne zostały tu dość dokładnie policzone i choć na pewno istnieją pewne szanse przekroczenia planowanej produkcji — nie są to wielkości, które będą decydująco wpływać na rozmiary budownictwa mieszkaniowego. Jak więc podołać do tej bariery?

Wydaje się, że działanie w dwu kierunkach mogłoby istotnie pomóc w przezwyciężeniu tej przeszkody. Pierwszy z nich — to zmniejszenie zużycia materiałów budowlanych w całej działalności inwestycyjnej. Możliwość taka kryje się przede wszystkim w zmianie struktury inwestowania w sferze produkcyjnej, głównie w przemyśle. Chodzi o bardzo poważne zwiększenie udziału inwe-

stycji modernizacyjnych. Nakłady na materiały budowlane i roboty z nimi związane są w tego typu inwestycjach mniejsze, niż przy wznoszeniu nowych obiektów. Niestety, inwestycje modernizacyjne nie cieszą się w naszym przemyśle (z pewnymi wyjątkami) zbyt wielkim uznaniem. Są to bowiem z reguły roboty organizacyjnie trudniejsze, wykonywane bez przerywania produkcji, wymagające bardzo sprawnego działania. Nie zawsze uzyskuje się na nie odpowiedni priorytet, a i sami budowlani niezbyt chętnie podejmują się takich robót. Udział nakładów na modernizację jest w całości naszych inwestycji przemysłowych stosunkowo mały — i choć różnie się to liczy — można bez obawy większego błędu szacować, że jest on o połowę mniejszy niż w wysoko uprzemysłowionych państwach. Podjęcie dodatkowego wysiłku organizacyjnego,

związanego z modernizacją nie tylko staje się niezbędnym warunkiem zwiększenia rozmiarów budownictwa mieszkaniowego, ale również wyjdzie na dobre i samemu przemysłowi.

Drugi kierunek — to poszerzenie wachlarza materiałów, z których budowane są mieszkania. Fabryki domów decydują o technologii i dużej cementszczelności. Budownictwo mieszkaniowe tam wszędzie, gdzie jest ono oparte na formach uprzemysłowionych. Słusznie jednak zwraca uwagę Marek Chmielewski, że blisko połowa (licząc powierzchnię) nowych mieszkań powstaje w zabudowie niskiej — jedno- lub dwurodzinnej. Czy i tutaj też musi królować beton i wielka płyta? Można powiedzieć, że te technologie przyspieszają tempo budowy. Jest to jednak czysta teoria — osiedle domków jednorodzinnych budowane z wiel-

kiej płyty w Warszawie jest w porównaniu z harmonogramem opóźnione już o parę lat, a przy tym koszty takiego domu przekraczają zalecaną rozsądną granicę.

Jeżeli więc nie wygrywa się ani czasem, ani pieniędzmi na takiej technologii — to trudno zrozumieć niechęć budowlanych do innych, bardziej tradycyjnych materiałów. Szczególnie, że wiele z tych materiałów, a przede wszystkim cegła, wraca do łask w krajach, które zmęczyły i uprzemysłowiły swoje budownictwo mieszkaniowe znacznie bardziej niż my. Z cegły robi się nawet prefabrykaty i wcale nie musi się ona kojarzyć z kielnią i koźlarzem. U nas natomiast zaczęliśmy budowę stodoł z betonu, nawet małe obory próbuje się wznosić z wielkiej płyty. Jest to chyba nowoczesność pojmowana opacznie, szczególnie, że w naszych konkretnych

warunkach musi się odbijać ujemnie na możliwościach zwiększenia budownictwa mieszkaniowego.

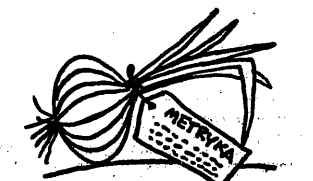
Budowlana „monokultura” oparta na betonie wywołuje nie tylko takie skutki. I cement, i kruszywa trzeba wozzić na coraz większe odległości, co odpowiednio obciąża transport kolejowy. Niedawno zaś słyszałem, jak dyrektor jednego ze zjednoczeń budowlanych, pół żartem, ale i pół serio zastanawiał się, kiedy przystąpić do rozbierania Tatr, bo zabraknie nam kamienia — niezbęd- nego surowca do produkcji betonów. Technologie oparte na betonie są podobno najlepiej opanowane przez nasze budownictwo, ale trudno — potrzeby są takie, że trzeba się nauczyć (albo sobie przypomnieć), jak się buduje i z innych materiałów.

S.C.

żywocik gospodarczy

● Fabryka Firanek we wsi Skopanie wypuszcza ścielki do rowów melioracyjnych, przez co efekty melioracji zostają zniszczone, bo woda zalewa pola, a nie jest ona czysta. Kilkadziesiąt hektarów pól uprawnych stało się nieużytkami, więc ich właściciele skierowali sprawę do sądu i wygrali ją w pierwszej instancji. Fabryka wniosła apelację, ale zdaje sobie sprawę, że na drodze sądowej nie ma szans. Wobec tego wystąpiła wobec władz terenowych z wnioskiem, że te kilkadziesiąt hektarów kupi, aby, jak pisał, „przebudować społecznie nie uzasadnionym procesom o odszkodowanie”. Fabryka, która zniszczyła kilkadziesiąt hektarów ziemi buraczano-peszczynowej, mającej nie mniejsze znaczenie gospodarcze niż jej produkcja, obiecuje owe nieużytki „racjonalnie zagospodarować”. Ciekawe, po co fabryce kilkadziesiąt ha ziemi? Chyba na przeżnięcie firanek.

brzeża” wyjaśnienie następującej treści: „Działkowicze, o ile rzeczy-



wicie potrafią udowodnić, że wazrywa i owoce są z ich działek, nie potrzebują na ich sprzedaż żadnych zezwoleń. Co innego podsygujący się pod ich status spekulacji — ci wcześniej czy później muszą sobie zezwolenie załatwić”. Interesuje nas owszem zezwolenie na spekulację, ale czy można je rozciągnąć na malwersacje także?

● Ciąg dalszy listy żgub: w Trzebinii-Sierszy od wielu już lat leżą elementy żelbetonowe, które kiedyś miały służyć do wyłożenia dna rzeki Kozibród, ale nie posłużyły. Wartość bieżąca: ciągle jeszcze kilkadziesiąt tysięcy złotych.

● Kieleckie Przedsiębiorstwo Produkcji Elementów Budowlanych w Sitkowie zużywa miesięcznie 500 ton stali zbrojeniowej produkowanej dlań w Chorzowie i Nowej Hucie. Producent nie może wysłać jej

wprost do odbiorcy, lecz dostarcza do centrali materiałów budowlanych. Gdyby centrala ta nie pośredniczyła w podobnych dostawach znalazłaby się w sytuacji nieznosnej i absurdalnej, gdyż nie miałaby po co istnieć. W rezultacie stał krząć koleją po całej Polsce, nim od producenta przybędzie do odbiorcy. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie brak wagonów. Po utknięciu w Zielonej Górze — z braku wagonów i z powodu przeciążenia kolei — stał nie mogła przybyć do Sitkowie, co spowodowało różne następstwa. Ludzie czekający na mieszkania! Nie myśleć tylko o sobie. Jasne, że chcicie normalnie i spokojnie żyć. Ale centrala materiałów budowlanych również.

● Zarząd toruńskiej restauracji „Pod Kotwicą” wyjaśnił, że gościom podawane być mogą jajka sadzone, natomiast jajecznicę nie. Przyczyną tego są natury ekonomiczne. Rozbettanie jajek na patelni wymaga



dodatkowej pracy ręki. Wartość tej pracy nie została jeszcze skalkulowana. Jej obliczenie jest zaś warunkiem ustalenia ceny jajeczniczy, która nie może kosztować tyle co jajka sadzone, gdyż zgodnie z ekonomią markowską jajecznicę stanowi uposiadliwienie większej, niż jajka sadzone pracy ludzkiej. Ma więc jajecznicę znacząco większą wartość.

● Z wywieszek na drzwiach sklepów: „Zamknięte — kasa się liczy” (Gdynia, sklep spożywczy w Obłuzu Leśnym). Klient i tak wie, że nie on się liczy.

● Producent stojących lamp naftowych spółdzielnia „Naprzód” w Końskich idzie z duchem czasu, co nie wymaga zmian asortymentu ani technicznych ulepszeń. Wpierw lampy dostarczane były tylko na wieś i znajdowały nabywców wśród tradycyjalistów, którzy nie zakładali elektryczności w stajni, a i za stodołę nie lubili chodzić z latarką elektryczną. Obecnie stanowią równoległe artykuł awangardowy, sprzedawany w mieście i rozchwytywany przez amatorów dekorowania mieszkań starzyzną. Następnym krokiem było nazwanie latarni „Jupiter” i opracowanie teorii jej używania. Wydrukowana instrukcja informuje, że gdy lampka kopci trzeba knot uregulować lub przyciąć. Jeżeli knot się zużyje wkrocić nowy. Jeśli natomiast się zużyje napełnić zbiornik na

nowo, pierwszej jednak odkręcając korek. Dla zapalenia lampy trzeba zapalić knot. Gdy brakuje papieru trzeba dać pierwszeństwo upowszechnianiu myśli prostych i niech filozofowie czy literaci trzymają się drugiej kolejności.

● Punkt gry liczbowej „Lajkonik” nr 107 przy Placu Kleparskim w Krakowie nie przyjmował zakładów od ludzi cisnących się w intencji oddania swych pieniędzy na cele społeczne. Powodem nieprzyjmowania zakładów był brak kleju. Kierownictwo punktu zapewniało równocześnie, że w przyszłości pójdzie po klej.



● Fabryka Mebli w Swarzędzu zamiast do kompletów, które produkuje, dodawać niezbędne do ich zmontowania uchwyty, śruby i inne akcesoria nazwała swój towar „Baron”. Ludzie dziś nie tyle patrzą



właściwości użytkowych towaru, co przykładają wagę do jego prestiżowego znaczenia. Ktoż zaś nie chce mieć własnego, kupionego za zapracowane pieniądze barona w M-3 czy wiejskiej chacie? Klienci dążyli jednak do postawienia barona, a handel ni producent nie posiadał rezerwowych uchwyty, śrub itd. Fabryka jest jednak w porządku. Dodała do mebli tyle uchwyty, śrub itd. ile się należało. Tyle, że w jednych paczkach (zapieczętowanych) z meblami w kawałkach były po dwa trzy komplety uchwyty i śrub, a w innych nie było ich wcale. Statystycznie jednak zgadzają się wszystkie.

Gdyby u nas społeczeństwo miało większy zmysł organizacyjny, to zamiast reklamować baronów w Swarzędzu posiadacze baronów mogliby się skrzyknąć, zorganizować się we wspólne arystokratyczne towarzystwo i dokonać redystrybucji uchwyty i śrub także.

gielda samochodowa

GIELDA SAMOCHODOWA wchodzi w okres jesienno ożywienia transakcji. Charakter tego ożywienia będzie w tym roku dość specyficzny. Z jednej strony jest bowiem wielu takich, którzy nabyliby chętnie samochód, z drugiej strony potencjalni sprzedawcy ani myślą zjeżdżać ze słomych cenami w dół. Niby wszystko w porządku, skoro popyt jest tak duży, a ceny się utrzymują, to widać nie starcza towaru. Rzecz w tym, że na samej giełdzie zwłaszcza Polskich Fiatów nie brakuje. Wydaje się więc (nie pierwszy zresztą raz), że sytuacja na giełdzie samochodowej, taka jaka jest w tej chwili, stanowi bardziej odbicie wzajemnych zależności między siłą nabywczą ludności i zrównoważeniem

jej masą towarową i usług w ogóle, niż oddaje faktyczny stan zdolności nabywczych i możliwości ofertowych klientów giełdy. Krótko mówiąc, relacje na giełdzie uległy znacznemu wykrzywieniu.

Ostatnio na giełdzie proponowano: SYRENĘ 105 z września 1973 r. — za 69 tys. zł;

FIATA 126-p, na częściach włoskich, po dwóch latach eksploatacji — za 88 tys. zł;

FIATA 125p (1500 ccm) z 1974 r. z dodatkowym wyposażeniem (radio) oferowano za 168 tys. zł. Tej samej pojemności wóz z marca 1975 r. miał cenę wywoławczą 192 tys. zł.

FIATA 125p (1300 ccm) z 1974 r. z płaskimi tłokami, sprzedano za 159 tys. zł;

FIATA 132p (1600 ccm) z października 1973 r., mimo przejechanych 62 tys. km, wyceniono na 255 tys. zł;

WARSZAWA 223, górnozaworowa z 1970 r., z ceną wywoławczą 87 tys. zł, została ostatecznie sprzedana za 72 tys. zł;

SKODA S—100 z 1970 r. była oferowana tylko za 16 tys. zł, poniżej ceny zakupu (121 tys. w 1970 r.);

TRABANT 601 z 1970 r. miał cenę wywoławczą 67 tys. zł, czyli wyższą niż cena nabycia przed pięciu laty;

MOSKOWICZA 408 z 1968 r. proponowano za 75 tys. zł;

WARTBURGA 353 z 1973 r., jeden z nowszych okazów wśród pięcio- i sześciolatków, po 25 tys. km, proponowano za 155 tys. zł;

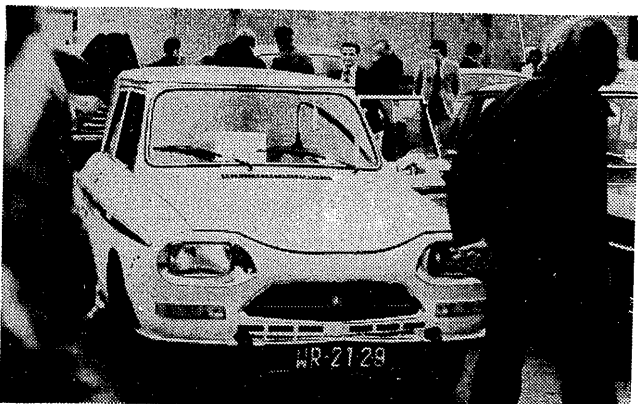
DACIA 1300, również po dwóch latach eksploatacji, była do nabycia za 140 tys. zł;

Ceny VOLKSWAGENA „Garbusa” z produkcji 1968—1969 wahały się od 90—110 tys. zł;

PEUGEOTA 504 z 1973 r. można było objąć we władanie za 300 tys. zł;

Jeszcze wyższą cenę miał FIAT 132 GLS (1800 ccm) z 1974 roku (jak się wydaje, egzemplarz nie pierwszy raz ekspozycyjny na giełdzie). Kosztował „tylko” 400 tys. zł.

(Jod)



Fot. S. ZUBCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

28-53-32, redaktorzy: 28-53-42, 29-38-54, sekretariat redakcji 28-06-28. Nie zamówionych artykułów redakcja nie odpowiada. OGŁOSZENIA PRZYJMUJE Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Wydawnictwo „Współczesne” 00-690 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11. Wódcich za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. WYKONANIE PRENUMERATY cena prenumeraty krajowej rocznie 200 zł, półroczna 104 zł, kwartalna 52 zł. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach wojewódzkich i powiatowych zamawiają i odpłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach Delegatury RSW „Prasa — Książka — Ruch” w terminie do 25 listopada na rok następny instytucje i zakłady pracy z siedzibą w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch” fak również prenumeratę indywidualnie odpłacają prenumeratę tylko w właściwych dla doręczeń pocztowych placówkach pocztowo-telekomunikacyjnych lub u doręczycieli — w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Decyzję wysłki za pocztą która też droższa o 40 proc. od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych w Warszawie ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100024. Prenumeratę ze Sprzedaż egzemplarzy numerów zderzanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa — Książka — Ruch” 00-690 Warszawa, ul. Towarowa 28

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Chelstowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Frolich, Jan Głowczyński (redaktor naczelny), Anna Kusko, sław Szynkler. ZESPÓŁ KONSULTACYJNY: Mirosław Dynar, Mieczysław Kabaj, Ostrowski, Józef Pajestka, Grzegorz Płaski, Antoni Rajkiewicz, Wydawca: RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”, Wydawnictwo „Współczesne” 00-690 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11. ADRES REDAKCJI: 00-690 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

nacz.), Zofia Długosz, Władysław Dudziński (zastępca redaktora nacz.), Jerzy Dziedzielski (zastępca redaktora nacz.), Andrzej Lubowski, Marek Makowiecki, Andrzej Nalecz-Jawocki, Marian Sikora, Ernest Skalski, Jerzy Surdykowski, Wiesław Rydygier, Władysław Sadowski, Jan Werner, Barbara Wisniewska. Marjan Krzak, Zbigniew Madej, Mieczysław Mieszczańkowski, Zbigniew Mikołajczyk, Marek Misiak, Zofia Morecka, Marian „Współczesne” 00-690 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11.

Współczesne” 00-690 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11. Zastępca redaktora naczelnego 21-55-57 sekretarz redakcji 21-55-57. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. W miastach wojewódzkich i powiatowych zamawiają i odpłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach Delegatury RSW „Prasa — Książka — Ruch” w terminie do 25 listopada na rok następny instytucje i zakłady pracy z siedzibą w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch” fak również prenumeratę indywidualnie odpłacają prenumeratę tylko w właściwych dla doręczeń pocztowych placówkach pocztowo-telekomunikacyjnych lub u doręczycieli — w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Decyzję wysłki za pocztą która też droższa o 40 proc. od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych w Warszawie ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100024. Prenumeratę ze Sprzedaż egzemplarzy numerów zderzanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa — Książka — Ruch” 00-690 Warszawa, ul. Towarowa 28

Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” — 00-624 Warszawa, Marszałkowska 3/8. Numer indeksu 88503/98506

Zam. 3171. B-88, B-90, B-102.